

TYGODNIK ILLUSTROWANY

W OGRODZIE



FR. EJSMOND



Tadeusz Kościuszko.
Ze zbiorów H. Wildera.

Umyślnie napisaliśmy „pielgrzymka“, bo Podzamcze jest polem bitwy, znanej w dziejach pod nazwą „bitwy maciejowickiej“. Do miejsca, wielkiem zdarzeniem historycznym pamiętnego, przesiąkniętego krwią tyłu wojowników,

których cienie zdają się ślaniać wśród mgły wieczornej, nie robi się wycieczki, ale pielgrzymkę. Bo ileż tu wspomnień i jakich wspomnień!

Historia opowiada nam o bitwach, o wiele może krwawszych, stoczonych stokroć większymi siłami i na znacznie szerszych przestrzeniach, ale wpływ ich na losy walczących i na losy świata jest mały; bywają zaś batalie, w których szczupłe siły udział biorą, a jednak pociągają za sobą skutki olbrzymie. Do rzędu takich bojów należy bitwa maciejowicka. Potykało się w niej niewielu żołnierzy, z obu stron jakie dwadzieścia kilka tysięcy wojowników, a jednak jakie ogromne wywołała ona następstwa, jak zmieniła postać świata i bieg dziejów! Spowodowała ona trzeci rozbiór naszego kraju, ostateczny upadek państwa, starła z politycznej karty Europy nawet imię Polski i całemu szeregowi nieobliczonych skutków powód dała.

I jakież ślady, jakie pamiątki pozostały do czasów obecnych po tym wielkim, tyłu płodami brzemienym fakcie dziejowym?

Podzamcze jest to niewielki folwark, leżący między wsią Oronne, dotykającą do parku pałacowego, a miasteczkiem Maciejowice, oddalonym o kilka wiorst zaledwie. Wisła płynie poza miasteczkiem; cała okolica ma wygląd nadwiślańskiej niziny, żyznej, bogatej, pełnej bujnej roślinności, bagnisk, strumieni i stawów. Na tej nizinie wystrzela niewielkie wzgórze, na którym wznosi się pałac i folwark Podzamcze. Z jednej strony, od południa i zachodu, wzgórze to łagodnymi spadkami się zniża, rozplywając się w obszerne pola orne. Od północy leży wielkie bagnisko, przez rzeczkę Okrzejkę wytworzone, obecnie na rybne stawy zamienione.

Pałac dzisiejszy, własność hr. Andrzeja Zamoyskiego, jest domem niewielkim, jednopiętrowym, z sąsiednią oficyną, czołem do zachodu zwrócony, tonący w prześlicznym i starannie utrzymanym parku. Od północy wzgórze, na którym stoją zabudowania dworskie, stromo spada ku rzece Okrzejce, tworząc ustronie bardzo malownicze. Sam pałac jest szczątkiem dawnego zamku, o którym Niemcewicz w swych pamiętnikach wspomina, gdyż w przeddzień bitwy nocował tam z naczelnikiem i sztabem, czytał stary jakiś rocz-

nik gazet, na pół podarty, znaleziony na podłodze, wśród resztek zniszczonej biblioteki i, śmiejąc się z naiwności doniesień dziennikarskich, patrzył na wąsate portrety antenatów, wiszące na ścianach, wałające się w pyłe podłogi i pokłutymi oczami spoglądające mrocznie na niezwykłych gości. Później często lato przepędzał w tym pałacu znakomity powieściopisarz, Józef Korzeniowski, jako nauczyciel domowy synów ordynata Zamoyskiego. Widocznymi pamiątkami krwawej walki, stoczonych właśnie na tem pałacowym wzgórzu, dziś sielskim urokiem ujmującym pielgrzymę, jest pięć czy sześć kul działowych, utkwionych w ścianach i starannie dotąd zachowanych.

Przed pałacem roztacza swe szerokie konary olbrzymia lipa, świadek bitwy, cała nadziana pociskami, dziś pokrytymi mchem starości. Podtrzymywana jest ona z wielką usilnością, a ojciec obecnego właściciela Podzamcza usychające, ciężko pokaleczone drzewo krwią zwierzęcą kazał podlewać, by je zachować przy życiu; i teraz odwieczna lipa piastowska, podpierana, obręczami żelaznymi spajana, żyje i rozłożystą swą koroną szemrze o dawnych dziejach i bojach...

W parku, przy jego końcu, tuż pod wsią Oronne, między grupą starych topoli i olch, znajduje się dość znaczne zagłębienie, gdzie, według tradycji miejscowej, miano pochować poległych. Na polu, na lewo do drogi, prowadzącej z Oronnego, widać kępki drzew i zarośli, gdzie także ma się znajdować mogiła poległych wojowników. Na tych polach zresztą pług bardzo często wyorywuje kule, guziki, szczątki broni, kości ludzkie... Przed paru laty zwiedzało to pobożowisko kilku oficerów sztabu głównego i zakupiło od wieśniaków podzameckich nieco takich kul starych. Istnieje przytem wśród ludu tamtejszego podanie, że na tych polach kryją się wielkie skarby, cała kasa wojskowa, zakopana w chwili pogromu, której jednak z braku bliższych wskazówek dotąd, pomimo usiłowań pojedynczych, odnaleźć się nie dało.

W pałacu, w archiwum miejscowym, niema żadnych dokumentów, dotyczących bitwy,

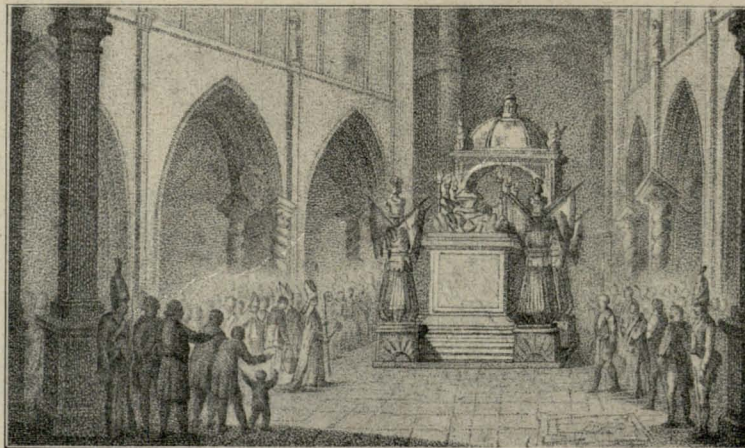
prócz jej planu, niewiadomo przez kogo sporządzonego, którego jednak, pomimo uprzednich zaprosin hr. Zamoyskiego, z braku czasu obejrzyć nie mogliśmy. Przed pałacem drzemią dwa sfinksy, z różowego porfiru fiński wykute, darowane niegdyś przez cesarza Aleksandra I-go do Puław i tu później przeniesione. W głębi parku wznosi się grupa Tankreda i Kloryndy, z marmuru kararyjskiego, pod naszym chmurnym niebem żółtkiego, niegdyś własność króla Stanisława Augusta, kupiona po jego śmierci przez księcia Stanisława Jabłonowskiego za 1500 dukatów, podarowana przezeń do Puław, a teraz w parku Podzamcza smutnie stojąca, z następującym napisem, z przepysznego przekładu „Jerozolimy wyzwolonej“ Piotra Kochanowskiego zaczerpniętym:

„Giniesz, piękna Kloryndo, od miłosnej dłoni,
A twój Tankred nad własnym zwycięstwem łzy
roni“.

Ale ważniejsza od tych resztek puławskiego splendoru, od tych pamiątek widzialnych tragicznego boju, jest żywa tradycja, dotąd między ludnością miejscową przechowywana. Wielki wypadek historyczny tak wstrząsnął wyobraźnią współczesnych, że po dzień od dziadów do ojców, do synów i wnuków przechowało się podanie o tym boju śmiertelnym, na tych polach przed stu dziewięć laty stoczonym. Niema nikogo, kto by, zapytany o to, nie wskazał ci pamiątek i mogił, nie powiedział, kto walczył, nie wymienił nazwiska wodza... Opowiadają, że później, w kilka lat po bitwie, z piwnic zamkowych przy restauracji na pół zrujnowanego pałacu wydobyto całe stosy kościotrupów i pochowano zapewne w parku, w owym zagłębieniu, starymi olchami zacienionem, na prawo od drogi z Oronnego.

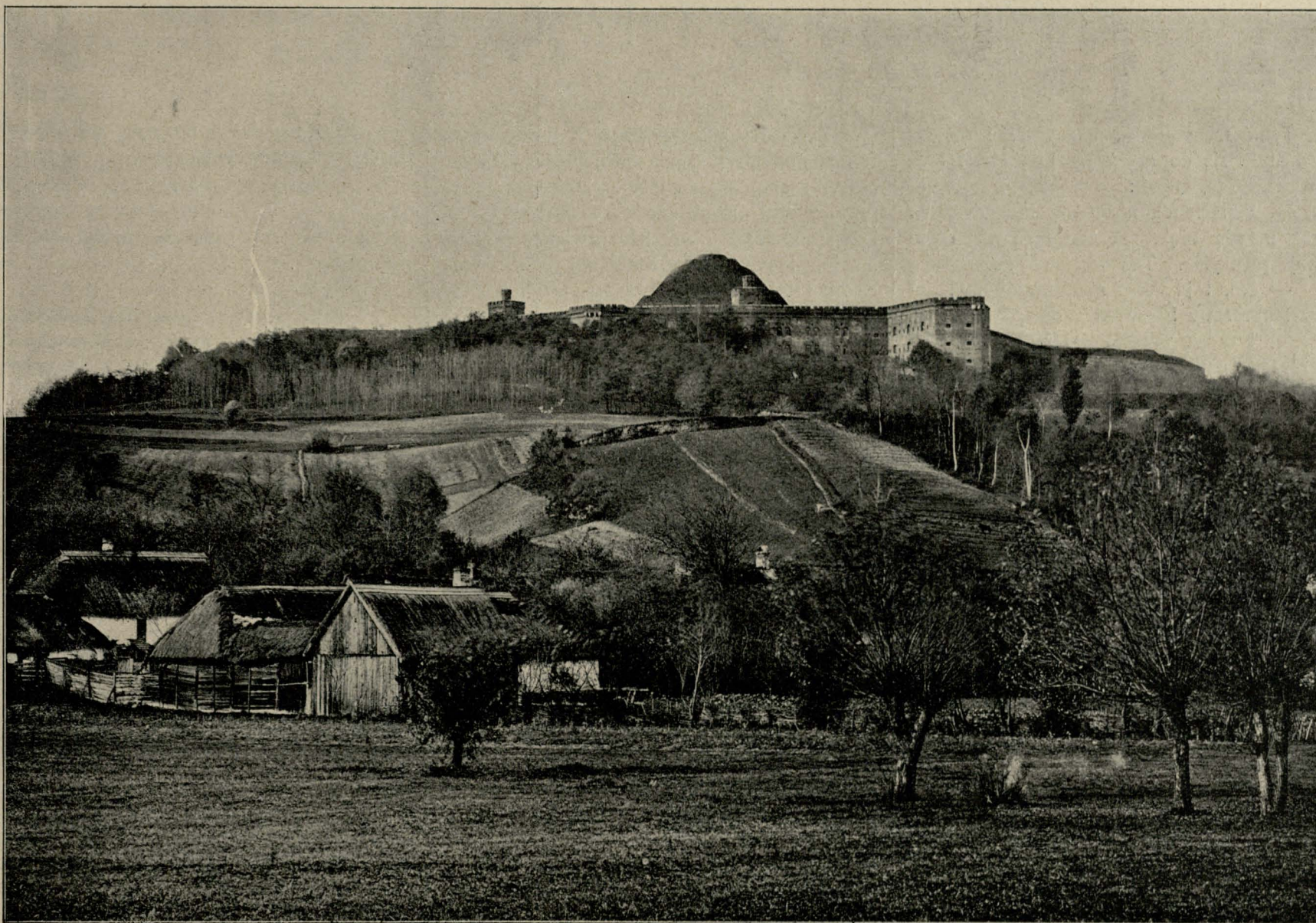
Historia nie powiada nam, przez kogo i gdzie Kościuszko, ciężko poraniony, do niewoli wzięty został; tradycja za to wyraźnie to miejsce oznacza. Twierdzi ona, że naczelnik pierwszą ranę, zapewne od kuli, otrzymał koło Zamku, że mu ją opatrzone pod drzewem, prawdopodobnie pod ową lipą odwieczną, pociskami przepełnioną, o której wyżej wspomnieliśmy, i że dostał się do

niewoli we wsi Krępie. Wieś ta, oddalona o milę od Podzamcza, przedzielona jest owymi bagnami, dziś na stawy zamienionymi, które tworzy rzeczką Okrzejką. Na przełaj przez te bagna, z Podzamcza do Krępy, może być ze cztery wiorsty. Trzęsawiska te, leżące na tyłach bojowej linii polskiej, były w owe czasy trudne do przebycia, i ciągnęła się przez nie wązka grobla, która niezmiernie utrudniała pochód kolumny Rachmanowa. W tych bagnach, zawsze według podań, miały potonąć jakieś armaty, niewiadomo do której ze stron należące, co jest jednak wątpliwe, gdyż przy kopaniu stawów obecnych nie natrafiono na nie wcale, co mu-



POGRZEB KOŚCIUSZKI.

Sztuch akademika wiedeńskiego Pfeiffera. Ze zbiorów H. Wildera.



KOPIEC KOŚCIUSZKI

Fot. J. KRIEGER

siałoby nastąpić, gdyby w rzeczy samej tam się znajdowały.

Za temi to bagnami i za lasem leży Krępa. Lud miejscowy wskazuje miejsce, „gdzie się Kościuszko obalił“. Za dworem, a raczej pałacykiem, dla jednego z pp. Zamoykich niedawno wzniesionym, w gaju olszowym, rosnącym na trzęsawisku, na lewo od drogi, prowadzącej do Łaskarzewa, za płotem zwyczajnym stoi niewielki kopiec pamiątkowy, a na nim prosty krzyż drewniany. Krzyż ten, jak się zdaje, postawiony przez czterdziestu laty, ma między innymi na sobie napis, ledwo dziś czytelny, wskazujący cel jego postawienia i datę bitwy: „dnia 10 października 1794 r.“

Zdawałoby się, że, skoro tradycja tak wyraźnie oznacza miejsce „obalenia się“ naczelnika, rzecz nie może żadnej ulegać wątpliwości.

Jednakże gdy badamy miejscowość, mimowoli mnóstwo takich wątpliwości powstaje. Podania historyczne twierdzą, że wódz z pod Zamku puścił się w pogoń za uciekającą swoją jazdą, chcąc ją nawrócić, i że w tej pogoni, dopadnięty, według jednych przez korneta huzarów Fiodora Łysienkę czy Lisienkę, według innych przez kozaka Potopyna, zapadłszy się z koniem w bagno, poraniony ciężko, wzięty został do niewoli. Mniejsza

o to, kto go schwytał, gdyż do tego zaszczytu i sławy historycznej wielu ma pretensję, najważniejsza rzecz, gdzie, w którym miejscu ta pamiętna scena się rozegrała. Otóż, jeżeli Kościuszko z pod Zamku pobiegł, by zawrócić pierzchliwą jazdę, to Krępa zbyt jest oddalona (na przełaj przez bagna, jakieśmy powiedzieli, co najmniej cztery wiorsty), by wistocie pędzić mógł tak daleko i tak daleko odsuwać się od pola bitwy, która przybierała coraz krwawsze rozmiary i przy której obecność wodza była konieczna. Prawdopodobniejszym zdawać się może, iż został doścignięty i porąbany na owych mokradłach nad Okrzejką, dziś na stawy zamienionych, a ciągnących się na tyłach jego linii bojowej.

Ale cóż zrobić z żywą tradycją, która wyraźnie i uparcie powiada, że za dworem w Krępie, w gaju olszowym, gdzie usypano kopiec, „Kościuszko się obalił“? Zgadza się z tem podaniem względy następujące.



Krępa leży w tyle linii bojowej polskiej, i linia ta, zaatakowana na lewym skrzydle od Oronnego przez kolumnę Denisowa, od czoła przez Chruszczowa, a od prawego pod Zamkiem przez Tormasowa, miała jedyną drogę odwrotu ku wsi Polikowu i Krępie przez bagna (dziś stawy) Okrzejki. Nie wdając się w to, czy należało staczać bój śmiertelny w takiej niebezpiecznej pozycji z topieliskiem na tyłach, zaznaczamy tylko, że jazda polska, uchodząc z pola bitwy, biedz mogła jedynie w tym kierunku i tylko w tym kierunku mógł popędzić za nią naczelnik, by ją zawrócić. Tem się tylko da wytlómaczyć zbyt wielkie oddalenie miejsca „obalenia się“ Kościuszki od pobojowiska, jeżeli tradycję mamy przyjąć za fakt pewny.

Bądź co bądź, tradycja ta istnieje żywa, pełna, niczem niezachwiana. Samotna mogiła, pod cieniem starych olch się wznosząca, na pół zmurszały krzyż drewniany, oto jedyne pamiątki wielkiego historycznego zdarzenia.

Tam to pewnego wieczoru lipcowego skierował swe kroki niżej podpisany, samotny pielgrzym, by uklęknąć u stóp posępnej mogiły i ucałować tę ziemię, gdzie się naczelnik obalił i gdzie z nim razem obaliła się Rzeczpospolita...

Tymczasem pierścien, zegarek i pugilares dostały się do rąk Zajęczkowskiego, który, rozmyślając, mówił:

— Pierścienek niczego... mogę wziąć... Zegar przyda się... A Gorczyca niech porachuje pieniądze. Ten nie ukradnie.

— No, i ja może nie ukradłbym!... — wtrącił obrażony Lisowski

— I ty nie ukradłbyś i jeszcze kilku... Ale reszta... nawet sobie nie dowierzam... No, Żydy, zabierajta się i zapamiętajcie sobie, jakąśmy wam łaskę wyrządzili...—kończył Zajęczkowski.

— Mam jechać?... A nic mi się nie stanie?...—pytał Pfeferman płaczącym głosem. Jego usta już nabrały lekko różowej barwy, w oczach przygasał wyraz trwogi.

Kilku partyzantów, śmiejąc się, wsadziło go do powoziku, a furman zaciął konie. Gdy Żydy zniknęli za krzakami, do Świrskiego zbliżył się niewysoki towarzysz w okularach, zwany Janem, i wytwornymi słowami powinszował mu odwagi:

— Uratowałeś, bracie, człowieka; będzie to piękną kartą w twoim życiorysie...

— Wypuścić szpiega!... — mruknął wąsaty łachmaniarz z ponurą miną.—A jak Żyd na nas sprowadzi kozaków, to co?...

— Przecie i bez tego ganiają nas — wtrącił Litwin.—Więcej zgryzoty przysporzy nam rozbita poczta, aniżeli Żyd nie powieszony...

— Takiś sam dobry, jak ci paniczel!... — odparł łachmaniarz i zwolna odszedł.

— Tego zucha niech kolega-naczelnik ma na oku... I jeszcze paru...—szepnął do Świrskiego Litwin.

Partya cofnęła się w głąb lasu i po dwugodzinnym pochodzie zatrzymała się przy wielkiej, starej szopie. Ktoś przywiózł mięso, krupy, kotły, i kucharze zgotowali obiad, po którym Świrski położył się spać w szopie, na przegniłych liściach.

Okolo północy Lisowski zbudził Kazimierza, pytając: czy nie poszedłby na wartę, gdyż ludzie są bardzo znużeni i nie każdego można być pewnym, że nie zaśnie na posterunku. Świrski zerwał się, przetaił oczy i w kilkanaście minut znalazł się na polance, sam, gdyż inni partyzanci wymawiali się od towarzyszenia mu.

— Ja nie kolega takich paniczów!... — mruknął jeden. Świrskiego zastanowiło to powiedzenie.

Czuwał około godziny z brauningiem w rękę, oglądając się i nasłuchując. Księżyc świecił jasno, dokoła cisza. Świrskiemu parę razy zdawało się, że wśród gęstwiny rozległ się szelest. Może jakie zwierzątko przebiegło, może śnieg zsunął się z drzewa... Nagle z tyłu huknęły dwa wystrzały, a jedna z kul otarła się o rękaw Kazimierza. Świrski struchlał, myśląc w pierwszej chwili, że kozacy otaczają partyzantów; lecz jednocześnie spostrzegł, że to był huk z małej broni, jakby z brauninga. Więc odstrzelił się w tym samym kierunku i stanął za sosną.

Tym razem napewno usłyszał szelest prędko oddalających się kroków i pomyślał: „To do mnie strzelił swój“... W stronie szopy, niezbyt odległej, zrobił się hałas; do Świrskiego przybiegł Dziewiątka, potem Chrzanowski... Zdjęto go z posterunku i odprowadzono do szopy, gdzie położył się i zaraz zasnął, niewiele dbając o swoją przygodę. Po to przecie był tutaj, ażeby narażać się na wystrzały; a kto strzelał, kozak czy partyzant?... było mu dziś wszystko jedno.

Na drugi dzień, po południu, wezwał go Zajęczkowski i poszli razem przez las, w stronę owej polanki. Kapitan ciężko sapnął, oczywiście dla dodania sobie powagi, i zakręcał wąsą lewą ręką, na której małym palcu jaśniał gruby, złoty pierścień z szafirem.

„Przecież to jest skończony bandyta!“... — pomyślał Świrski.

— Te ścierwa naczelnika zakantopia!... — odezwał się Zajęczkowski.—I ja nic na to nie poradzę... Mogę powiesić jednego... dwu... Ale jeżeli jest ich z dziesięciu, to całej partyi nie będę wieszał...

— Mówi pan o strzałach do mnie? — zapytał obojętnie Świrski.

— Maśśś się wiedzieć!... Pięknie, że naczelnik nie bierze do serca takich głupstw, no, ale ja nie pozwolę, ażeby oni pana zmarnowali...

— Jacy oni?...

— Ci, którym Monopolka wytłómaczył, że ten Żyd to był szpieg... Wreszcie, bez obrazy, partya jakoś naczelnika nie bardzo... tego ..

— Nie bardzo mnie lubią?... Czuję to sam.

— Nie tylko pana... Ich także w oczy kłuje Szczurek i Gorczyca...

„Niby Lisowski i Chrzanowski“... — pomyślał Kazimierz, a głośno dodał:

— To też niech nas kapitan uwolni z partyi, jeżeli nas nie lubią.

— Naczelnika choćby i dziś... — zawołał kapitan.—Ale tamci są nam coś nie coś winni. Kiedyśmy ich odbili w mieście, to jednak paru naszych wpadło!...

— Można wynaleźć jakieś odszkodowanie—wtrącił Świrski.—Ile naprzykład kapitan myśli?...

Targ w targ, Zajęczkowski oświadczył, że za tysiąc pięćset rubli na rzecz partyi uwolni Chrzanowskiego i Lisowskiego z oddziału.

— Kto nie wojuje, niech płaci!...—zakńczył kapitan.

Umówiono się, że Świrski jak najprędzej wyjedzie starać się o pieniądze, a Chrzanowski i Lisowski do jego powrotu zostaną w oddziale.

— Ja puściłbym ich bez niczego—mówił Zajęczkowski—bo z nich *profit* mały. Ale wtedy inni zechcieliby się wynosić, a tak nie można. Albo płąć, albo wojuj.

W godzinę później, serdecznie pożegnawszy dwu szkolnych kolegów i Litwina, Świrski wyjechał z oddziału tymi samymi końmi, które przywiózły żywność. Na odjazdne jeszcze raz szepnął Chrzanowskiemu:

— Jeżeli dobrze pójdzie, za tydzień będziemy w Galilei...

— Bodajby tak!... —odpowiedział spokojnie Chrzanowski. — W każdym razie stało się, jak przewidywaaliśmy. Chcesz się uwolnić z partyi—płać...

XV.

Od szopy w lesie, przy której Świrski opuścił bandę, do miasta X. było dwanaście godzin



W PRYZYSTANI (z wyst. „Sztuka w życiu dziecka“ w T. Z. S. P.)

H. CASSIER

jazdy końmi; ale Kazimierz drogę tę odbywał przez ośm dni, a przeżył całe lata spostrzeżeń i wzruszeń.

Pierwszy postój wypadł mu u gospodarza, który do partyi przywiózł żywność. Gospodarz ów nosił się z miejska, miał grubą marynarkę, długie buty i kozuch, a fizyognomię niezwykle uczciwą. Z jego niebieskich oczów wyglądała szczerść, każde zdanie było rozsądne i godziwe, nawet jasne, nieco podkreślone wąsy budziły zaufanie. Wioząc Świrskiego, mówił, że ruch rewolucyjny jest nieszczęściem dla kraju, ale popierać go trzeba, gdyż on wywołał konstytucję, która wszystko wynagrodzi.

— Męczymy się dziś, panie, wszyscy, nie tylko wy — mówił. — Nawet w lesie dziś może i bezpieczniej, aniżeli w domu. Ale musimy to wszystko wytrzymać, ażeby choć naszym dzieciom było dobrze. O, panie, konstytucja to jest ho!... ho!...

Dom, do którego zajechali późnym wieczorem, wyglądał na szlachecki dworek z gankiem i kilkoma wygodnymi, ciepłymi izbami. Stały tam komody, szafy, łóżka, stoły, nakryte serwetami, nawet fotele; każdy jednakże z tych sprzętów, czasami bardzo wytwornych, choć uszkodzonych, miał inny styl, inny kolor, inne obicie. Niemniej dziwił Świrskiego złożony zegar, stojący obok doniczki ze sztuczną różą, i regulator, który wcale nie chodził, obok szkaradnego oleodruku. Kazimierz pomyślał, że gospodarz musi być zamozny, choć nie mógł zrozumieć pochodzenia jego sprzętów.

Na kolację zjadł doskonałej kiełbasy z sosem i kartoflami, napił się jeszcze lepszej herbaty i spostrzegł, że na srebrnych łyżeczkach są jakby powybijane znaki. Usługiwała im młoda, ale ponura służąca, której z dalszych pokoi rozkazywała niewidzialna pani domu.

Posłano mu na kanapie i krzesłach, dano czystą bieliznę, materace, trzy poduszki i pierzynę. Mimo to Świrski nie mógł zasnąć: było mu za gorąco, i ciągle przychodziła na myśl niepojęta mieszanina sprzętów. Trzymał więc pod poduszką brauning i magazyny i mimowoli przysłuchiwał się każdemu szelestowi, jakby stał na posterunku.

Po północy Świrski usłyszał szmer za oknem, skrzypienie sani, tupot kopyt i ciche rozmowy. Zerwał się z wygodnej pościeli i przez okno zobaczył sanie, naładowane skrzyniami, parę luźnych koni, tudzież kilku mężczyzn w chałatach i kozuchach. Skrzynki zdjęto i gdzieś odniesiono; luźne konie odprowadzono zapewne do stajni. W czasie tych manewrów Kazimierzowi zdawało się, że jego uczciwy gospodarz nazwał kogoś



ŻYDZI NA WAŁACH W 1831 r. (Ze zb. mec. H. Cederbauma)

złodziejem i że inny głos odpowiedział: „Samaś od złodzieja gorszy“. Ponieważ rozmowę prowadzono półgłosem, więc Świrski uważał ją za przesłyszenie się.

Później Kazimierz zasnął, aż zbudziły go dwa głosy. Złożony zegar na komodzie wydzwonił ósmą, a ponura służąca przyniosła mu na tacy imbryczek wonnej kawy, dwa garnuszki śmietanki, tudzież stos bułeczek i sucharków. (Bułeczki były czerstwe, a sucharki zmiętoszone). Na widok pięknego chłopca, zbudowanego, jak Apollo, ponura służąca życzliwie uśmiechnęła się i spytała:

— Pan zostanie u nas do jutra?...

I spojrzała tak, że Świrskiego dreszcz przebiegł. Lecz w tej samej chwili przypomniał sobie pannę Jadwigę; w sercu jęknęła mu nieokreślona tęsknota i — wzruszył ramionami.

Gospodarza nie było, gospodyni wciąż nie pokazywała się. Świrski wyszedł przed dom, przekonał się, że dworek jest w rzeczy samej ładny, otoczony ogródkiem, że na dziedzińcu leżą stosy drzewa, nawet budulcowego, że dalej jest obórka, stajnia, stodółka i że wszystko to stoi na brzegu lasu.

Chciał zajrzeć do stajni, gdzie rozlegało się kwiczenie koni. Ale właśnie w tej chwili ukazał się gospodarz i zawrócił go do pokoju.

— Chyba musi pan zmienić odzienie — rzekł, patrząc na Świrskiego łagodnym wzrokiem. — Taka kurtka i buty nie pasują do miasta...

Kazimierz przyznał mu słusność, a jednocześnie zrobił uwagę, że nie ma nic innego oprócz kilku sztuk bielizny w rańcu.

— Może się u nas co znajdzie — odpowiedział gospodarz i wyszedł z pokoju, a potem w stronę lasu. W kwadrans powrócił, niosąc tłumok odzieży, bielizny i butów. Świrski przymierzył, odzienie od biedy pasowało, ale buty były za wielkie. Gospodarz zabrał buty, znowu poszedł w stronę lasu i znowu po kwadransie przyniósł buty już dobre, stary kozuszek i koszyk na rzeczy.

— A paszport pan ma?... — zapytał. A gdy Świrski rozłożył ręce na znak, że nie ma, gospodarz udał się do swojej niewidzialnej małżonki, coś z nią rozmawiał i, znowu po kwadransie, przyniósł najformalniejszy paszport na imię Augusta Szulca, mieszkańca gubernii płockiej.

Nad wieczorem przyszedł jakiś człowiek bez ręki, wyglądający na żebraka. Poszeptali z gospodarzem, który powiedział Świrskiemu, że jest przewodnik, który może go poprowadzić dalej.

— Naturalnie do X?... — zapytał Kazimierz.

— O nie, panoczku!... — odezwał się

przewodnik, chłop łysy z wesołymi oczyma. — Musimy nadłożyć drogi, bo teraz kręci się dużo wojska.

Wypadało obrachować się z gospodarzem, który sam ułatwił Świrskiemu tę kłopotliwą czynność. Policzył dwa ruble za przejazd, dwa ruble za nocleg i żywność, pięć rubli za paszport i piętnaście rubli, tudzież starą garderobę za nowe odzienie. Do starej garderoby zaliczył całe ubranie, cienką bieliznę Świrskiego i nowy, skórzany raniec. Kazimierz nie odznaczał się praktycznością, musiał jednak przyznać, wobec samego siebie, że jasnooki pocziwiec oporządził go doskonale!...

Kiedy z okaleczalym przewodnikiem odeszli parę wiorst od gościnnego dworka, Świrski zapytał: kim jest ów gospodarz, którego przed chwilą pożegnali.

— Panicz nie wiedzą?... — odpowiedział, śmiejąc się, łysy człeczyna. — On przecie taki...

— Jaki?...

— A niby taki, że u niego kryją się konie, rzeczy rozmaite, drzewo, jak wypadnie...

— To złodziej?... — spytał Świrski.

— Nil... on tylko taki... Ale to dobry pan. Zawsze uczciwie przyjmie człowieka. Jego nawet strażniki lubią.

Zrobiło się zupełnie ciemno. Gdy znowu uszli kilkaset kroków, Świrski zapytał:

— Agdzieżeście to, ojczu, rękę zgubili... Na wojnie?...

— Na folwarku, przy młocarni. Podsuwałem snopy, i naraz chytnęło mnie...

— A dali wam co za kalectwo?

— Odwiezły me do szpitala, a jakem wyszedł, najęli mnie do bydła, ale ino na puroku.

— A teraz wzięliście się do polityki?

(DCN)

J. PIWARSKI



ZŁOTE JABŁKO
Z Salonu T. Z. S. P.

JACEK MALCZEWSKI



ZŁOTE JABŁKO
Z Salonu T. Z. S. P.

JACEK MALCZEWSKI

Przez obcy szedłem las—posępny stał;
ciemniał w nim dzień—wilgotne mchy
słały się u mych nóg, z nadwodnych skał
zwiślały zimne, brudne, ślizgo szły
w parowów głąb. Potoku pienny nurt
po progach wył wzdłuż drogi, to znów cichł,
z kamiennych w toń się przelewając furt.
Wśród gonnych drzew tu owdzie, jakby mnich,
(dalekich Tatr widziadło), karli smrek,
obrosły gąszczem konarów aż do stóp,
w milczeniu stał i ciszy leśnej strzegł.
I nic nie rwało jej, jak ciemny grób,
milczał ten las, tonąc w ponury mrok.
Tam szedłem sam—szeleścił w ścieli krok,
to patyk trząsł, to belkło trzęsawisko —
gdziem był?—tak, wiem: ja byłem ludziom blisko,
ale mój duch, jak niegdyś na Jeziorze
Królewskim, zszedł z kolisk ludzkiego świata.
I wszystkie w tłum zbiegły się ku mnie lata
przeżytych dni, przeżytych godzin morze...
Wszystko, com czuł, czegom przepagnał w życiu,
zbiegło się ku mnie w tłum—wszystkie tęsknice, chęci;
widziałem tam, jak pasmo wzgórz w odbiciu
kliszy: zebrane wspólnie epoki mej pamięci.
I moja krew i mózg mój i marzenia,
porywy duszy, woli mojej sny,
nadzieje, wiary: wśród tego milczenia
ozwały się—przyszły i ze mną szły
mówiące do mnie—w mrok. A głos to jeden był,
ogromne, straszne jedno zapytanie:

co pozostało z nich?... Ze skalnych brył,
gdy spadną w dół, skruszony rum zostanie,
kamieni stos—lecz co zostało z nich?
Co z duszy mej i z mojej krwi żywota?
Czyliż, jak kurz od koła leci szprych,
tak z życia duszy treść odlata i robota?
Wewnętrznej pracy wóz przetoczy się wśród dróg,
i nie zostaje nic, jakby nie przebiegł wcale?
I gorzki żal się wśród czeredy wzmógł
mych myśli, czuć. Po cóż—mówiły—po co
byłyśmy, jeśli mniej trwania w nas, niżli w skale
podłej, z której się żwir i głązy wygruchocą?
Po coś ty rodził nas i my rodziły ciebie?
Pytały tak, a ja, jakgdybym na pogrzebie
pochodnią tylko był i więcej niczem, wkoło
świecąc na smutku mrok i na zgrzyotne kiry,
tak szedłem — — milczał las, woń stęchłą zioło
dawało z błót, i mchy, nad wodne wiry
zwiśle, dławiły dech... I ciągły szum: gdzie my?
Gdzie żywot twój, co z nas się plótł, jak z sita
plecie się kosz? Gdzie my: twe myśli, sny,
gdzie żywot twój?... Cóż powiem? Pod kopyta
wtrącił was Czasu rumak i Nicości?
Zdeptał was, jako koń Atylli złem
kopytem deptał was? Kędyście w toń tej czczości,
co się przeszłością zwie, kędyście w grób, w pokłady
strawionych ludzkich rzeczy zapadły—czyż ja wiem?..
Wtem u mych stóp, pod zboczem usypiska,
wśród mokrych nór, patyków, jako gady,
pełznących w las, nad miejscem, gdzie połyska—
bagienka szkło: ujrzałem nieruchomie

stojącą salamandrę. Czarne ciało,
pomalowane w żółte plamy, stało
się tuż nad ziemią i w leśnym ogromie
wiązała do się wzrok, jak świeca w ciemnej sali.
Przez długą chwilę przeciwieśmy stali,
aż mi się zdało, że w tej wędrownicy
pustkowi leśnych, w tej wiecznego cienia
mieszkanca niemiej: wszystkie me pragnienia
i cały bezmiar żywota tęsknicy
i wszystko, co się w mem życiu nie stało,
wraz się skupiło i wraz zamieszkało,
ażeby błędzić tu, w wiecznej mrocznicy
obcego lasu... Dni, godziny, lata,
co za mną z głuchem zapytaniem gnacie,
widma cmentarne, czyliż wy w warsztacie
natury wiecie, jakim kręgiem lata
koło wszechbytu? Czy znacie pierścienia
początek i kres? Czy wiecie, że wspólnie
może wam wszystkim ten odpowiedź daje las?
Że wszystkie żyte sny, sny żyte i natchnienia
i cały skarb, co człowiek w sobie miał,
może się taką ot straconą rzeczą stał
jak salamandra ta wśród lasu mrocznych głębi?
Więc nie pytajcie mnie, kędy jesteście,
ani pytajcie mnie, czy się z was co zezrebi,
ani się za mną w tłum tych mar żalobnych nieście,
bo nie wiem nic — — widzicie: milczy las...
Jeżeli tu przez wszystek bytu czas
błądzić człowieka los—może i to, co żył,
wieczyste błędzi kędyś—tuman sił
straconych w wieczny mrok..

A. NOWACZYŃSKI:

L O N D Y N .

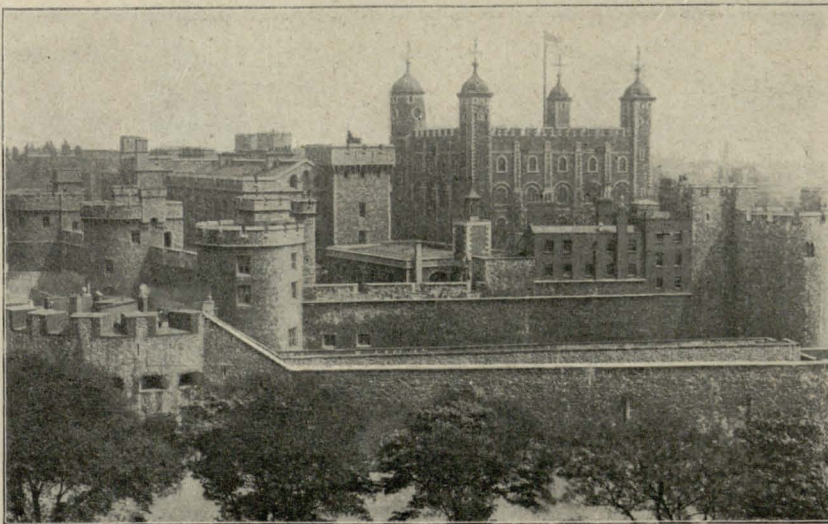
III.

Do tego to ulubionego Piotrowi Wielkiemu
Toweru przynależą duchowo i poniekąd stylowo
jeszcze westminsterska Halla i katedra; Halla, dziś
składowa część parlamentu, niejako foyer tego
wspaniałego teatru prawodawczego, dźwiga na
swych barach siodłowego dachu już omal tysiąc
lat. W tej nawie hieratycznej poważnej, o dębo-
wym ciężkim stropie, ze starych balk okrętowych
misternie skonstruowanym, doznaje się uczucia już
zgoła religijnego. Tu w tej ocalałej po całym west-
minsterskim pałacu Halli stapała kiedyś ciężka noga
despoty Don Jouana Henryka VIII, wspartego na

ramieniu kardynała Wollseya, poskramiacza kró-
lewskiej dzikiej bestyi. Tu, w tej tak niepojęcie
wysokiej arcykomnacie, w której drzewo zdobnicze
nabrało już mocy i łysków kamienia, tu dwóch kró-
lów, przekonanych o złym sposobie rządzenia, zło-
żono spokojnie, ale stanowczo z tronu: Ryszarda II
i Edwarda III. Tu, w tej sali, dzieje się jeden akt
dramatu Szekspira, jeden dramatu W. Hugo (Crom-
well) i jeden akt pięknego dramatu Szujskiego,
t. j. sąd śmiertelny nad Bajardem Szkocyi, Wal-
laczem. Tu, w tej sali, tak uroczyste feudalnej,
miano także skazać szlachetnego lorda Ferrars na

śmierć tylko za zabicie służącego, i tu obrado-
wał pierwszy parlament Europy na 810 lat okrągło
przed dumą rosyjską.

Od Westminsterskiej Halli do kolegiaty za-
chodniego monasterium, t. j. do Opactwa kroków nie-
wiele; niegdyś tworzyły one nawet organiczną całość
jednego city. Jesteśmy więc w Panteonie, w tem,
czem dla Florencyi kryjąca zwłoki Michała Anioła,
Macchiavellego i Danta Santa Croce. Kiedy za Ka-
rola I, akurat w połowie XVII wieku zwiedzali to
Jan i Jakób Sobiescy, wojewodzie rusczy, przy-
dany im Gawarecki, notujący pamiętnikowe wraże-



Tower. Zamek londyński od strony północno-zachodniej.

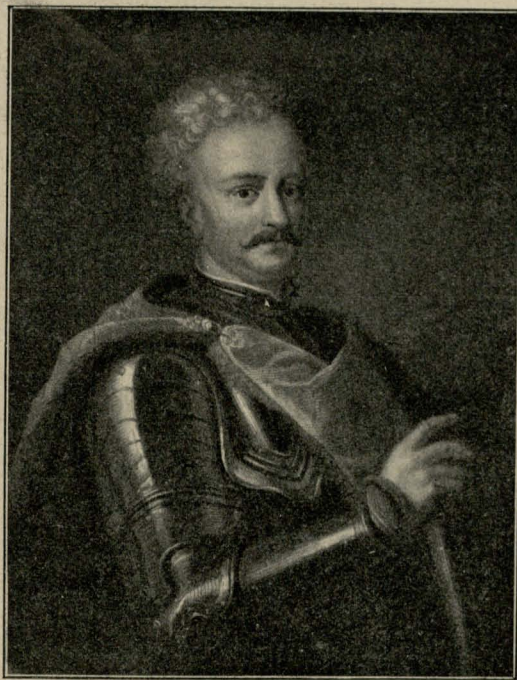


Bulwary nad Tamizą.

nia, zdumiewa się już nad „srogiej zacności kosztownymi marmurami“ „Veixmegsteru“ i „propozycją bardzo piękną“, nad „porfirowymi nagrobkami sadzonymi“ lub z „mosiądzu haniebnie zacnymi“... Kiedy się wchodzi w ten formalnie gaj kamiennych ludzi, ogarnia przedewszystkiem zimna mroźność.

W potężnej ciszy późnogotyckiego, t. zw. perpendykularnego Tumu słycać echemo krok profana obcego, barbarosa i górne skądś tony organowe wygrywającego sobie zapewne händlów, bowiem bardzo nudne msze organmistrza. Z wysokich chudych okien spływa modra poświata na granitowe flizy; gdzie ino oko padnie w ogrom kaplic, zaułków, naw bocznych tej kolegiaty św. Piotra, wszędzie napotyka rzeźby i rzeźby, gdzie-niegdzie piękne, tam znośne, a gdzie-niegdzie „haniebnie zacne“, a nawet wprost „haniebnie“ trywialne spiże, alabastry, porfiry, marmury. Ale nie tak tu selekcyjnie i dostojnie, jak w katedrze krakowskiej. Geniusz rasy kazał opatom św. Piotra wpuszczać tu tych wszystkich, których dzieje narodu nie tylko nieśmiertelnością, ale i zwykłą zasługą obywatelską wyróżniły. W panteonie wawelskim narodu zbiedniałego sami tylko królowie i notable, archidiakoni i kanonicy; tylko dla dwóch bohaterów zrobiono łaskawy wyjątek; o ludziach zasłużonych z trzeciego stanu: nie było i niema mowy.

Ta zaś Westminsterka Walhalla jest sobie całkiem demokratyczna. Obok władców potężnych, wielkich panów, księżniczek i lacych są poziomej pracy doktorzy i sędziowie, geometrowie i geolodzy, pedagogzy i architekci, filolodzy i filozofowie. Bardzo piękny nagrobek aktora Garricka stoi między archeologiem Camdenem a teologiem Casanbohem. Jest kąć przesławny poetów, jak są znowuż całe grupy parlamentaryszy, jest odkrywca chloroformu i odkrywca logarytmu; słowik australijski, śpiewaczka Jen-



Jan Sobieski

Ryt. S. Thomson

ny Lind, stała się w marmurze po śmierci najbliższą sąsiadką Händla, a w krużganku uroczym, zacisznym, koło Poets Corner, aktoreczka mr. Bracegirdle ma tablicę wspomnieniową obok samych wielebnych kanoników i kołatorów opactwa. Co więcej, nie tylko i admirałowie a astrologowie, nie tylko chirurdzy a filantropi znaleźli tu w kamieniu i spiżu wieczny, trwały symbol, ale w wielkiej liczbie znaleźli się i ci, którym Wielka Brytania zawdzięcza kilkaset milionów poddanych różnych ras i kolorów, ale też i coprawda haniebną niesławę bezecnych okrucieństw Johna Byka. Poczci tych cywilizatorów całkiem krzyżackich, apostołów Ewangelii ogniem i mieczem, zaczyna się na Edwardzie I, „Młocie Szkocy“. I oto po róż-

nych kątach mniej mniej lub więcej efekciarskie, pod artystycznym względem niemożliwie nędzne występują buńczucznie posągi „conquistadorów“ angielskich, oto „młot“ Indyi, „młot“ Egiptu, „młot Kanady“, „młot Nowej Zelandyi“, „młot Murzynów“, „młot Czerwonoskórych“. Jeden nawet depce obcasem Indyjczyków, skutych w łańcuchach, inny oparł się na bagnecie z wyrazem nie ukrywanej bestyalskiej wścieklizny w wilczych ślepiach. Pierwszy wynalazca czyszczenia krwi szczepioną ospą musi sąsiadować dość blisko z jednym z krew ludzką chłęptających buldogów i „usmieritelow kramolniczego“ Eirinu. Inny dobroczyńca ludzkości, co jej dał maszynę parową, musi mieć naprzeciwko siebie jednego z „krwawych admirałów“. Ale pełnia życia tym sposobem szczerym i dumnym w tym przybytku śmierci osiągnięta została całkowicie, pod jednym wysokim sklepieniem hołd wdzięczności narodowej oddany i tym synom, co służyli Ojczyźnie siłą, i tym, co rozumem, i tym, co sercem, i tym, co okrucieństwem, i Waat-som, i Warren Hastingsom.

Kiedy się wychodzi z tego Panteonu najbardziej romańskiego dziś w swem imperyalistycznym poczuciu narodu, ma się jeszcze w oczach ten tłum jakby zakamieniałych, chłodnych, spokojnych, dumnych lub tylko jakby pewnych siebie postaci, te ześcian zwieszające się ciężkie, zielonawe, olbrzymie arrasy westminsterskiej szkoły makatowej i ten niezgrabny, bezozdobny, chłopski, surowy tron królewski Edwarda Wyznawcy. I jeszcze tylko jedno pamięta się dobrze, i to nie maskę Szekspira, i nie Newtona rysy, i nie napis pod Bakonem czy Lockem, a tylko miłą postać Johna Gaya, bajko i komedyo-pisarza. U stóp tego lekkomyślnika figlarnego maska, sztylet i flet. A na cokole napis, w miernem a wiernem tłómaczeniu brzmiący:

Fraszka jest to życie, fraszka i nieładna,
Kiedyś to przeczuwałem, dziś to widzę snadno.



Parlament od strony rzeki. Most Westminsterki, widziany z przed Doków Liptona.



Port Londyński. Tamiza, w głębi Tower Bridge.

WŁADYSŁAW ST. REYMONT:

CHŁOPI. LATO.

48,

Przetarł oczy, całkiem pewny, jako mu się przywidziało, ale nie, stojali zaledwie o kilkanaście kroków od niego, zapatrzeni w siebie i dziwnie roześmiani.

Zdziwił się niemało, nastawiając przystem uszy, ale, chociaż słycał głosy, nie mógł jednak złożyć i wymiarkować ani jednego słowa.

— Wracała z boru, on jechał, i spotkali się—pomyślał, ale w tem oczymgnieniu ukąsiło go cosik w serce, sposepniał, i głuche, kolące podejrzenie zatargało kajś we wąpiach.

— Nic drugiego, jeno się zmówili! — lecz, dojrawszy Jasiowe księżę obleczenie i jego twarz taką jakąś świętą, uspokoił się,

odetchnąwszy z niezmierną ulgą, nie porędził se jeno wyrozumieć Jagusi, dlaczego się tak była wystroiła do boru? i czemu tak modrzały jej ślepie roziskrzzone? czemu jej tak latały czerwone wargi, a biło od niej taką radością? Obiegał ją wilczemi, głodnemi ślepiami, gdy, wypinając się naprzód wzdętymi piersiami, podawała króbkę, z której Jasio

wybierał jagody i sam jadł i jej wtykał do ust...

— Prawie ksiądz, a chce mu się zaba-
wiać, kiej dzieciak.

Szepnął z politowaniem i wartko ruszył
ku domowi, miarkując sobie po słońcu, jako
musiało już być kole podwieczorka.

— Póki nie tknę tej zadry, póty i nie
boli!—myślał o Jagusi. — A jak to w niego
łakomie patrzała, dziw go nie zjadła. A nie-
chta, a niechta...

Próżno się jednak otrząchał, zadra i tak
dolegała mu do żywego.

— A o demnie to ucieka, kieby od tej
zarazy. Juści, nowe sitko na kolek, szczę-
ściem, co z Jasiem nic nie wskóra—rozjatrzał
się coraz barzej—poniektóra to jak suka, po-
leci za każdym, kto zagwizda.

Leciał prędko, ale nie poredził zagubić
tych gorzkich wspominków, jacyś ludzie go
wymijali, ani spostrzegł kogo; uspokoił się
dopiero pod wsią, gdyż dojrzał organiścinę,
siedzącą nad rowem z pończochą w ręku,
najmłodszy tarzał się przed nią w piasku,
a stadko podskubanych gęsi szczypało trawę
między topolami.

— Aż tutaj pani zawędrowała z gęsia-
mi?—przystanął, obcierając spotańnię twarz.

— Wysłałam naprzeciw Jasia, tylko go
patrzeć, jak nadjedzie.

— Dyc ino co wyminąłem go pod
lasem.

— Jasia! to już jedzie? — zakrzyczała,
zrywając się na nogi. — Pilusie, pilu, pilu,
a gdzie szkodniki, a gdzie? — wrzasnęła, bo
gęsi jakoś niespodzianie dopadły do żyta, sto-
jącego nad drogą, i wzieny je zajadle
młócić.

— Bryka stała pod figurą, zaś on ro-
zmawiał se z jakąś kobietą.

— Pewnie spotkał znajomą i pogadają.
To on tu zaraz nadjedzie. Pocziwa chłop-
czyzna, on nawet obcego psa nie przepuści
bez pogłaskania. A którąż to spotkał?

— Nie rozeznałem dobrze, ale zdało mi
się, co Jagusię—a widząc, że stara skrzywiła
się jakoś niechętnie, dorzucił ze znaczącym
prześmiechem:—Nie rozeznałem, bo zesłi mi
z oczów kajś w zagaje... pewnikiem przed
gorącym...

— Święci Pańscy! co też wam w gło-
wie, Jasio zadawałby się z taką...

— Taka dobra, jak drugie, a może
i lepsza!—rozgniewał się srodze.

Organiścina chybciej zaruchała drutami,
wpatrując się jakoś pilnie w pończochę. —
A żeby ci ozór odjęło, pleciuchu jeden—my-
ślała, głęboko dotknięta—Jasio miałby z taką
dziewą... prawie już ksiądz... — Ale się jej
spomniały różne księżowskie historye, i ogar-
nęła ją niepokój, poskrobała się drutem po
głowie, postanawiając rozpytać się obszer-
niej, lecz Antka już nie było, natomiast na
drodze, od lasu, podniósł się tuman kurzawy
i toczył się ku niej coraz prędzej, a nie wy-
szło i Zdrowaś, już Jasio ścisła ją z całej
mocy i skamlał serdecznie:

— Mamusiu kochana! Mamusiu!

— Święci Pańscy! Ady mnie udusisz!
Puść, smoku, puść! — i kiedy puścił, sama
wzięta go ścisła, całowała a chodzić po nim
rozkochanemi oczyma.

— A to cię wychudzili, kruszyno! Ta-
kiś blady, synaczku! Takiś mizerny!

— Rosoły na święconej wodzie nie pa-
sa!—śmiał się, pohuśtując brata, którego jaże
piszczął z radości.

— Nie bój się, już ja cię odpasę —
szepiała, gładząc go pieściwie po twarzy.

— To jedźmy, mamusiu, prędzej bę-
dziemy w domu.

— A gęsi? Święci Pańscy, znowu
w szkodzie!

Skoczył wyganiać, gdyż się były dorwa-
ły żyta, łuskając kłosa, aż miło, potem brata
usadził w bryce i, zapędzając przed sobą gę-
si, szedł środkiem drogi, rozprowadając o po-
dróży.

— Patrz no, jak się bęben umazał!—
zauważyła, wskazując na małego.

— Dobra! się do moich jagód. Jedz,
Stasiu, jedz! Spotkałem w lesie Jagusię, wra-
cała z jagód i trochę mi usypała...—zrumie-
nił się wstydliwie.

— Właśnie przed chwilą mówił mi Bo-
ryna, że was spotkał...

— Nie widziałem go, musiał gdzieś bo-
kiem przechodzić.

— Moje dziecko, na wsi ludzie widzą
przez ściany, nawet i to, czego wcale nie
było!—wyrzekła z naciskiem, spuszczać oczy
na rozmigotane druty.

Jasio jakby nie zrozumiał, gdyż, dojrza-
wszy stado gołębi, lecące nisko nad zbożami,
śmignął za nimi kamieniem i zawołał we-
soło:

— Zaraz poznać po wypasionych brzu-
kach, że to proboszczowskie...

— Cicho, Jasiu, jeszcze kto usłyszy!—
skarciła go łagodnie, rozmarzając się myśle-
niem, jak to on zostanie kiedyś proboszczem,
a ona usiedzie przy nim na stare lata, do-
żywać dni swoich w spokoju i szczęśliwości.

— A kiedyż to Felek przyjedzie na wa-
kacye?

— To mama nie wie, że go aresztow-
wali?

— Święci Pańscy! Aresztowany! i cóż
to zbroił? A zawsze mówiłam, a przepowiada-
łam, że źle skończy! Taki łajdus, w sam raz
było mu iść na jakiego pisarka, ale młynar-
zom zachciało się zrobić z niego doktora!
A tak się nim pysznili, tak nosy zadzierali,
a teraz synek w kryminale, mają pociechę!—
aż się trzęsła z jakiejś mściwej radości.

— Ależ to zupełnie co innego, siedzi
w cytadeli.

— W cytadeli, a to musi być coś po-
litycznego—zniżyła głos.

Jasio nie umiał odpowiedzieć czy też
nie chciał, zaś ona szepnęła trwożnie:

— Moja kruszyno, tylko ty nie mieszaj
się do niczego.

— U nas nawet mówić nie wolno o ta-
kich rzeczach, zarazby wypędzili.

— A widzisz! Wypędziliby cię, i nie zo-
stałbyś księdzem! Adybym umarła ze wsty-
du i zgryzoty! Boże mój, zmiłuj się nad
nami!

— Niech się mama o mnie nie boi.

— Przecież rozumiesz, jak harujemy i za-
biegamy, aby chociaż wam było trochę le-
piej. Sam wiesz, jak ciężko, tyle nas w do-
mu, a przychody coraz mniejsze, i żeby nie te

trochę ziemi, tobyśmy przy naszym proboszczu
musieli nieraz głodem przymierać. Wiesz,
proboszcz się teraz sam godzi z chłopami o
śluby i pogrzeby, sam, słyszane to rzeczy!
powiada, że ojciec z ludzi zdzierał! Jaki mi
dobrodziej z cudzej kieszeni.

— A bo naprawdę zdzierał—wykrztusił
nieśmiało.

— Co ty! Na ojca będziesz powsta-
wał? na rodzzonego ojca! A jeśli zdzierał, to
dla kogo? Przecież nie dla siebie, a tylko
dla was, dla ciebie, na twoją naukę—zaska-
rzyła się boleśnie.

Jasio zaczął ją przeproszać, ale mu
przerwało jakieś jazgotliwe dzwonicie, pły-
nące gdzieś od stawu.

— Słyszysz mama? pewnie ksiądz idzie
do chorego z Panem Jezusem.

— Prędzej to dzwonią na pszczoły, że-
by nie uciekły, musiały się wyroić na ple-
banii. Proboszcz więcej teraz pilnuje swoje-
go byka i pasieki, niżli kościoła.

Dochodzili właśnie smętarza, gdy naraz
sypnął się na nich brzękliwy szum, że Jasio
ledwie zdążył krzyknąć na furmana:

— Pszczoły! trzymajcie konie, bo się
spłoszą.

Jakoż nad placem kościelnym huczał
ogromny rój, niósł się górą, kieby rozbrzę-
czana chmura, kołował, jakby upatrując spo-
sobnego miejsca, to zniżał się, przepływając
między drzewami, a za nim leciał ksiądz
w portkach jeno i koszuli, bez kapelusza,
zazajany i nieustannie machający kropidłem,
przydzwaniał zajadle i wrzeszczał; obiegli
plac parę razy, nie zwalniając ani na chwilę,
gdyż pszczoły opadały coraz niżej, jakby za-
mierzając opaść na który z domów, że już
dzieci pierzchały z pod ścian, ale naraz po-
derwały się ździebko i szły prosto na Jasio-
wą brykę, wrzasnęła organiścina i, zadartszy
kieckę na głowę, przycupła kajś w rowie,
konie zaczęły się rwać, aż furman skoczył
zakryć im ślepie, gęsi się rozleciały, a jeno
Jasio stał spokojnie z zadartą głową, rój za-
kręcił znagła tuż nad nim i poszedł prosto
na dzwonicę.

— Wody!—ryknął proboszcz, puszcza-
jąc się w cwał za niemi, dopadł zblizka i tak
je skropił, że, nie mogąc już ruchać przemie-
kłami skrzydłami, zaczęły się osadzać w dzwo-
nicznej oknie. — Jambroź! drabina, sitko,
a prędzej, bo uciekną! Ruszaj się, kulasio!
Jak się masz, Jasiu, zrób no ognia w trybu-
larzu, trzeba je podkurzyć, to się uspokoją!—
wrzeszczał zgorączkowany, nie przestając skra-
piać opadającego roju, a nie upłynęło i Zdro-
waś, drabina stała pod dzwonicą, Jambroź
przydzwaniał, Jasio dymił z trybularza, niby
z komina, zaś ksiądz piął się w górę i, do-
sięgnawszy pszczoł, gmerał między niemi,
wyszukując matki.

— Jest! Chwała Bogu, już nie uciekną!
Podkurz, Jasiu, od spodu, bo się rozlażą! —
rozkazywał, zgarniając gołemi rękami pszczo-
ły; nic się bowiem nie bojał, chociaż obsia-
dły mu głowę i łażyły po twarzy, jeno, poga-
dując cosik do nich, zbierał je do sitka i zbie-
rał, gdyż rój był ogromny.

— Uważać! burzą się, mogą ciąć! —
ostrzegał, schodząc z drabiny, otoczony całą

chmarą, wirującą nad nim z brzękiem i szumem, a zeszedłszy na ziemię, poniosł sito przed sobą, tak ważnie i uroczyście, kieby tę monstrancję, Jasio go okadzał, kołysząc trybularzem, Jambroz dzwonił, pokrapiając raz poraz, i w takiej ano procesyi walili do pasieki za plebanią, kaj w osobnem zagrodzeniu stało kilkadziesiąt uli rozbrzęczanych, jakby w każdym się roilo.

A kiedy ksiądz zajął się obsadzaniem pszczoł, Jasio, dobrze już głodny i utrudzony, wysunął się cichaczem do domu.

Juści, co ucieszyli się nim niezmiernie, a co tam było pisków, całowań i pytań, tego i nie wypowiedzieć, zaś skoro przeszła pierwsza radość, usadzili go za stołem i dalej znosić przeróżne smaki a podtykać, a molestować i zachęcać do jada, jaże cały dom się trząsł od wrzasków i bieganiny, gdyż wszyscy naraz pragnęli mu usłużyć i być jak najbliżej. Właśnie na taki rejwach wpadł zaziąjany Grzela, wójtów brat, rozpytując się niespokojnie, czy nie widzieli Rocha? Ale nikt go nie widział na oczy.

— Nie mogę go nikaj naleźć—wyrzekął frasobliwie i, nie wdając się w rozmowy, poleciał dalej szukać po chałupach, a zaraz po jego odejściu zawołano Jasia na plebanię. Ociągał się, zwłóczył, ale iść musiał.

Proboszcz czekał w ganku przy podwieczorku, wycałował go po ojcowsku i, usadziwszy przy sobie, rzekł wielce łaskawie:

— Rad jestem, żeś przyjechał, będę miał z kim odmawiać brewiarz! Ale, wiesz, ile mam tegorocznych rojów? Piętnaście! A mocne, jak stare, już niektóre zarobiły miodem po ćwierć ulla! Wyroilo się więcej, Ambrozemu kazałem pilnować pasieki, ale usnęła trąba, i pszczołki fiut... na bory i lasy. A jeden rój ukradł mi młynarz! No, mówię ci, że ukradł! Uciekły na jego gruszę, zabrał, jak swoje, i ani chciał słuchać o oddaniu! Zły o byka, to mści się na mnie, jak może, rabuś jeden. Słyszałeś to już o Felku? Te gałgany to tną, jak osy, a sio!—zajęczał, opędzając się chusteczką od much, padających mu ciągiem na łysinę.

— Tylko tyle, że siedzi w cytadeli.

— Żeby się choć na tem skończyło! Doigrał się, co? A mówiłem, a przekładałem, nie słuchał osieł jeden i ma teraz bal! Stary ryła i bufon, ale Felka szkoda, zdolna szelma, po łacinie umie ekspedite, że i biskup lepiej nie potrafi. Cóż, kiedy we łbie pstro i dalejze wybierać się z motyką na słońce... A powiedziano: jakże to... aha! czego nie wolno, nie rusz, a co zakazane, obchodź z daleka. Pokorne cieleć dwie matki ssie... tak... —ciągnął ciszej i już coraz słabiej, opędzając się przed muchami.—Zapamiętaj to sobie, Jasiu! No, mówię, zapamiętaj! —zwiesił głowę, zapadając w głęboki fotel, ale, gdy Jasio powstał z krzesła, otworzył oczy i zamamrotał: —Zmęczyły mnie pszczołki! A przychodź wieczorami na brewiarz. Ale, uważaj na siebie

i nie spoufalaj się z chłopami, bo, kto się za da z plewami, tego świnie zjedzą! No, mówię, zjedzą i basta!—przysłonił łysinę chustką i zachrapał już na dobre.

Śnać tak samo myślał organista, albowiem, kiedy parobek wyprowadzał konie na pastwisko i Jasio skoczył na jednego, stary zakrzyczał:

— Zleż mi zaraz! Nie pasuje, żeby ksiądz jeździł na oklep i zadawał się z pastuchami!

Strasznie chciało mu się jechać, ale zlął, jak niepyszny i, ponieważ już mrok zapadał, poszedł za ogrody odmówić wieczorne pacierze, ale mógł się to zebrać w sobie, kiedy jakaś dzieuszyna piesieczka dzwoniła gdzieś niedaleko i baby rajcowały w jakimś sadzie, że każde słowo leciało po rosie, i wrzeszczały dzieci, kąpiące się w stawie, kajś znów śmiechy się zatrzęsły, to ryki krów, to księżę perliczki darły się przenikliwie i cała wieś huczała przeróżnymi pogłosami, niby ten ul rozbrzęczany, że ciągiem mu się myliło, a gdy nareszcie uchwycił wątek i, przykleknawszy pod żytem, wtopił rozmodlone oczy w to niebo rozgwiażdżone i poniosł duszę kajś w zaświaty, buchnęły od wsi takie przeraźliwe krzyki, lamenta i przeklinania, że poleciał ku domowi, wystraszony wielce i niespokojny?

Matka właśnie wyszła go wołać na kolację. (DCN)

NA GWIAZDKĘ.

I.



Ilustracja K. Gorskiego do „Bitwy pod Stoczkiem“.

Zaczęło się od „Bitwy pod Raszynem“.

Kto, dzieckiem będąc, nie czytał tej pięknej powieści, kto jej nie pamięta? Kto nie wzruszał się do głębi serca losami dzielnego Janka, który ważył się na największe trudy i niebezpieczeństwa, byleby ukochanego wodza, księcia Józefa, od grożącego niebezpieczeństwa uchronić? Kto nie zaciskał drobnych piąstek, gotów rzucić się w gniewie na groźnego rotmistrza von Lampego, wachmistrza Franza i wszystkich w rumel Austryaków, co wojują nie tyle męstwem i roztropnością, co podstępem i zdradą?

Komu nie rozplómiętały wyobraźni obrazy z obozu cygańskiego, przygody młodego cygana Cyngi, ucieczka i pogoń? A końcowa scena powieści, bitwa

raszynska, opromieniona urokiem bohaterstwa i chwały, choć jest tylko epizodem, nie budziła w młodych czytelnikach żywszego bicia serca, nie zapalała ich do wszystkiego, co wielkie i szlachetne?

W chwili, gdy „Bitwa pod Raszynem“ wychodziła z druku, warunki cenzuralne w Warszawie były bodaj że najtrudniejsze, a mimo to autorowi udało się przepoić swój utwór silnym uczuciem narodowym, co należy poczytać mu za prawdziwą zasługę.

Autorem tym jest Walery Przyborowski. *Bitwa pod Raszynem* była pierwszą jego pracą w zakresie literatury popularnej. Próba to ze wszech miar udatna: powieść rozeszła się w trzech wydaniach (ostatnie w r. 1905), a teraz oto ukaże się w czwartym, w nowej szacie, z pięknymi rysunkami K. Gorskiego, utalentowanego ilustratora, które nadały książce piętno wy-

sokiego artysty.

Zachęcony powodzeniem tej pierwszej powieści, Przyborowski napisał cały szereg utworów, do których tematy czerpał z przeszłości historycznej Polski: przed oczami młodych czytelników przesunął się cały szereg postaci dziejowych, od bajecznych Kraków i Lechów do bohaterów walk i tryumfów napoleońskich. Jedną z tych powieści, p.t. *Było to pod Jeną... opowiadanie legionisty*, ozdobioną ilustracjami znakomitego artysty-ryownika, A. Kamińskiego, wznowiła w bieżącym sezonie firma Gebethnera i Wolffa. Werwa, rozmach żołnierski i humor, a nadewszystkiem sympatyczny, ciepły sentyment patryotyczny, cechują ten utwór w znacznym stopniu.

Najbliższe atoli, sercem i czasem, epoki dziejowe,

stuletnie dzieje walki Polaków o prawa narodowe, do niedawna stały przed naszymi autorami powieści historycznych dla młodzieży zaporem, na siedem spustów zamknięte. Już Konfederację Barską uważano za „niepożądaną“; o Kościuszcze, bohaterach 1830—31 r., powstaniu r. 1863—nie było nawet i mowy. Dziecko warszawskie nie mogło czytać o tem, co je najbardziej interesowało.



Ilustracja K. Gorskiego do „Bitwy pod Stoczkiem“.



Ilustracja K. Gorskiego do „Pamiętników Beniowskiego”.

Od trzech lat uzyskaliśmy pewną swobodę w poruszaniu przedmiotów z mniej odległej przeszłości. Skorzystalibyśmy z tego autorowi powieści dla młodzieży, a przede wszystkim — Walery Przyborowski.

Rok temu pisaliśmy na tem miejscu o jego „Racławicach”, które, pomimo pewnych usterek, podobały się powszechnie, zyskując uznanie u rodziców i wychowawców, budząc entuzjazm w pokoiakach dziecięcych.

Obecnie przyszła kolej na powstanie listopadowe. I oto leży przed nami nowy utwór autora „Bitwy pod Raszynem”, p. t. *Pod Stoczkiem*, powieść historyczna z r. 1831, z 8 ilustracjami K. Gorskiego” (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa. Cena karton rub. 1 k. 20, w oprawie płóc. rub. 1 kop. 50).

Przedstawia ona jeden tylko epizod z kampanii 1831 roku, a epizod bodaj najradośniejszy, zwycięstwo pod Stoczkiem, z towarzyszącymi mu ubocznymi okolicznościami: przejście dywizji generała Dwernickiego po lodzie na prawy brzeg Wisły dnia 11 lutego, rozbiście korpusu generała Geismara, dumnego ze zwycięstw w kampanii tureckiej z r. 1828—39, w dniu 14, ponowne przejście Wisły i zwycięstwo, odniesione nad generałem Kreutzem pod Nową Wsią w Czerniechowie. Akcja więc powieści trwa nie więcej, jak tydzień, a pomimo to toczy się żywo, a przytem jest doskonale ześrodkowana. Prócz Dwernickiego, z postaci historycznych zarysowuje się sympatycznie dzielna, marsowa figura księcia Puzyna, przełożonego nad małą działobitną z sześciu armat niewielkiego kalibru.

W tych oto promiennych gloriach chwały wojennej i tryumfu wypadkach biorą udział dwaj młodzi bohaterowie: jeden z tych zuchów to Kazik Wadwicz, szeregowiec pułku Krakusów Kościuszki, przypominający w znacznym stopniu dawniejsze kreacje Przyborowskiego; drugi — to postać charakterystyczna, z humorem odznaczona, dziecię ludu warszawskiego, Jędrus Grotowski, niegdyś złotnik z ulicy Miodowej, teraz — artylerzysta z pod Puzyny, całem sercem przywiązany do „nadbójnej Rózi”, czterofuntowej armatki, a przytem mężny i zręczny żołnierz, chociaż trochę zabawny ze swą gadatliwością, roztargnieniem i gwarą warszawską, od której daremnie usiłuje go Kazik oduczyć.

Że obaj przyjaciele odznaczyli się w bitwie, to się samo przez się rozumie. Ale różne były ich dalsze losy: Kazik, ranny pod Nową Wsią, dostaje się do szpitala, Jędrus bierze udział w niefortunnej wyprawie Dwernickiego na Wołyń i „podobno” ginie pod Boremlem. Otóż to „podobno” zabiło nas nieco: należałoby się trochę więcej uwagi i ciepłej serdeczności temu dzielnemu chłopakowi, o patykowatej figurze i nie-

zgrabnych ruchach, ale złotem sercu i gorącym uczuciu narodowym. Czyżby autor rozmyślnie ześrodkował całe światło na „szlacheckim” dziecku, pozostawiając w cieniu „mieszczańskiego” syna?

Pomimo tę, drobną zresztą usterkę, „Pod Stoczkiem” przeczytaliśmy z prawdziwym zajęciem. Zapewne, nie można żądać od powieści, by uczyła historii; nie takie jej przeznaczenie. Jeżeli odtwarza wiernie nastroje chwili dziejowej, jeżeli fakty historyczne i postacie przedstawia we właściwym oświetleniu, jeżeli wreszcie budzi cześć i uwielbienie dla przeszłości, dla tego, co w epokach minionych było wielkie i szlachetne: rola jej skończona.

I tym wszystkim wymaganiom ostatnia powieść Przyborowskiego czyni zadość; nie fałszuje też dziejów, nie pomija i nie przekręca nawet tego, co smutne i bolesne.

Druga nowość wydawnicza tejże firmy na tegoroczną gwiazdkę wyszła z pod pióra cenionej popularyzatorki naszej przeszłości narodowej, pani Zofii Bukowieckiej. Znana autorka wielu powieści współczesnych dla młodzieży i wybornych podręczników historycznych, opracowała dla młodego pokolenia *Pamiętniki Beniowskiego*. Syberya, Daleki Wschód. Madagaskar, z 16 rycinami K. Gorskiego” (Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa. Cena karton rub. 1 k. 20, w oprawie płóc. rub. 1 k. 50).

Słynne te pamiętniki, przełożone na kilkanaście języków (po angielsku wyszły w r. 1790, po francusku w 1791), w polskim przekładzie ukazały się po raz pierwszy w roku 1797, p. t. „Historja podróży i osobliwych zdarzeń sławnego Maur. Aug. hrabi Beniowskiego, szlachcica polskiego i węgierskiego, zawierająca w sobie: jego czyny wojskowe w Polsce, w czasie Konfederacji Barskiej, wygnanie jego, naprzód do Kazan, potem do Kamczatki, waleczne jego z tej niewoli oswobodzenie się, żegluga jego przez Ocean Spokojny do Japonii, Formozy, Kantonu w Chinach, założenie przez niego osady na wyspie Madagaskarze z zlecenia francuskiego rządu, jego na jej wyspie wojenne wyprawy, ogłoszenie go wreszcie najwyższym Madagaskarzem”. Potem było jeszcze kilka edycji.

Ten przedługi, a jednocześnie niezmiernie charakterystyczny tytuł zamyka w sobie całą treść pamiętników: nadzwyczajne przygody w trzech częściach świata, na lądach i morzach, w krainach egzotycznych i zgoła nieznanych, wśród ludów barbarzyńskich, a przecie nie raz, w myśl *Contrat social* Jana Jakóba, przedziwne szlachetnych i łagodnych wśród tysiąca niebezpieczeństw, od rozpętanych żywiołów, zbrojnych nieprzyjaciół i własnych, buntowniczych, podwładnych grozących — oto co zjednało temu utworowi w swoim czasie tak rozległą w całej Europie poczytność. Wszak były to czasy podróży fantastycznych i napół-fantastycznych, których autorowi, torem Swifta i De Foëgo, rozpalali wyobraźnię swych czytelników obrazami krain, odległych od tysięcy mil od Europy, i takich, których na żadnej mapie geograficznej nie znaleźć.

Awanturnik węgierski, w Polsce naturalizowany, uczestnik bojów i chwały i niedoli Konfederacji Barskiej, nie byłby Beniowski tak popularny w swej przybranej ojczyźnie, gdyby — jego niezwykle losy nie były



Rys. K. Gorski.



Ilustracja K. Gorskiego do „Pamiętników Beniowskiego”.

pociągnęły ku sobie lotnej wyobraźni Juliusza Słowackiego.

I oto wysnuła się z tej wyobraźni „powieść taka, jak dawny, długi, lity pas Polaka”. I oto opowiedział nam wielki poeta dzieje tego, co:

Maurycy, Kaźmierz, Zbigniew miał z ochrzcenia
Imiona, rodne nazwisko Beniowski.
Tajemniczą miał gwiazdkę przeznaczenia,
Co go broniła, jako częstochowski
Szkaplerz...

Młodość miał bardzo piękną, niespokojną
Ach! taką tylko młodość nazwać piękną,
Która zaburzy pierś, jeszcze niezbrojną,
Od której nerwy w człowieku nie zmiękną,
Ale się staną niby harfą strojną
I, bite pieśnią zapału, nie pękną,
Przez całą młodość pan Beniowski bujnie
Za trzech ludzi czuł — a więc żył potrójnie.

Poemat Słowackiego znamy wszyscy; o pamiętnikach jego bohatera zapomnieliśmy zupełnie: trudnoż bo czytać cztery wielkie tomy, dziś zresztą stanowiące wielką rzadkość bibliograficzną.

Ale w opracowaniu p. Bukowieckiej, znanej już szeroko z talentu przystosowywania się do umysłowości młodych, i sami przeczytamy ją chętnie, i damy naszym synom do czytania. „Pamiętniki Beniowskiego” łączą w sobie dwa kierunki twórczości w tej dziedzinie: są zarazem powieścią historyczną i podróżniczą, otwierają przed oczyma młodocianego czytelnika piękną i wzniosłą kartę naszej przeszłości dziejowej, kiedy to Polska po raz pierwszy po wielu latach śpiączki i bezmyślnego epikureizmu zerwała się do boju, a jednocześnie podniecając wyobraźnię widokiem krain egzotycznych, przygód i niebezpieczeństw, dowodów odwagi i zimnej krwi i t. p. Oba te rodzaje są, jak wiadomo, ulubioną strawą duchową naszej młodzieży, nie należy więc wątpić, że książka niniejsza znajdzie poczytność, jaka jej się bezprzecnie należy.

Na zakończenie podnieść musimy niewątpliwie zasługi ilustratora, p. K. Gorskiego, który ozdobił swym wytwornym ołówkiem i „Stoczek”, i „Beniowskiego”. Artysta ten, jak nikt inny bodaj w Polsce, umie przemawiać swymi rysunkami do młodych czytelników, tworząc kartony pełne ruchu, wyrazu i siły, o czem zresztą przekonać się mogą nasi czytelnicy z załączonych reprodukcji.

HENRYK GALLE.

Z teatru krakowskiego.

Rzadko kiedy dano jest teatrowi zbliżyć się do ideału świątyni sztuki tak bardzo, jak to w udziale przypadło teatrowi krakowskiemu w dniu 28 z. m.

Złożyły się na to trzy zasadnicze warunki wznieśienia się teatru na ten najwyższy poziom: wielkie misteryum twórczości poetyckiej w granem dziele, szlachetne kapłaństwo grających i — żarliwa wiara tych, którzy patrzą i słuchają.

Grano „Noc Listopadową” St. Wyspiańskiego. Wielce trudnym wystawieniem tego wielkiego dzieła, które zdobi bogatą puścizną literacką poety, chciano uczcić dwie rodzice: 77-mą wybuchu powstania listopadowego i pierwszą śmierć jego samego. I uczczono też obie te niezapomniane chwile rzeczywistości.

Już na długo przed tym dniem, dla polskiej poezji i dramatu niezwykle uroczystym, gotowały się szerokie rzesze na te wielkie gody piękna i uczucia. To też, kiedy nadszedł oznaczony czas, w teatrze krakowskim zapanało niezwykle skupienie

ducha. Tysiące oczu wpatrzyły się w scenę. Tysiąc serc uderzyło wedle dziwnego rytmu tego wysokiego obrzędu, który oto rozpoczął się tam, po drugiej stronie orkiestry.

Przedśionek szkoły podchorążych. Karabiny ustawione rzędami wzdłuż ścian. Chwila ciszy i pustki, a potem rozstępuje się ściana i w środku sceny staje Pallas Atene (p. Wysocka) i, grmiącym słowem wywoławszy cały korowód nik, zagrzewa do broni podchorążych.

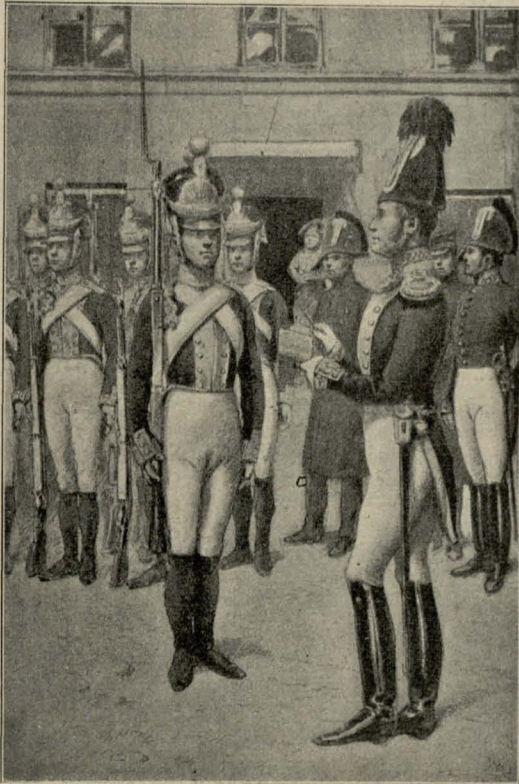
Potem zdumiewająca ekspresja scena między wielkim księciem Konstantym a żoną jego Joanną (pp. Solska i Sosnowski). A dalej znowu górny lot natchnienia przepięknego w obrazie pod pomnikiem Sobieskiego na moście w Łazienkach. Znowu mieszają się dwa światy — bogów i ludzi. Pierwsi obrazują ideę chwili, dają jej dyalektykę, drudzy czekają na omówione hasło, wpatrując się w ciemność wszystko otaczającej nocy.

Następuje scena w Teatrze Rozmaitości — przedziwne arcydzieło. W głębi sceny przepiękna publicznością widownia teatru, na pierwszym planie sama scena, na której grają właśnie Fausta. Zaambarasowany reżyser biega za kulisami. Odmłodzony Faust zrucza z siebie przyprawioną broń i obszerną opończą. Małgorzata po drabince wchodzi do papierowego okna, aby wysłuchać miłosnego madrygału. Mefisto z gitarą w ręku uwija się dokoła. A wśród tego wszystkiego cztery satyry, z których jednego gra sam Solski, platają aktorom figle, występują na scenie poprzebierane w u n i f o r m y współczesne i bardzo przejrzystymi aluzjami do wypadków zabawiają publiczność ku nieopisanemu rozpaczy reżysera. Zagrano tę scenę z najwyższą maestrią. Z zawilego scenariusza i ogromnie poplątanego dialogu, jak się on przed-

stawia czytelnikowi dzieła, wydobyto bardzo skomplikowaną wprawdzie i zdumiewającą bogactwem pomysłu akcję, ale zupełnie jasną i zrozumiałą. Tak dobrze odczuwał scenę Wyspiański, tak całkowicie intencją jego rozumiała reżyseria.

Dalej szereg obrazów z samego powstania, napad na rezydencję wielkiego księcia, atak na arsenał, śmierć Stanisława Potockiego i znowu próba głębokiej introspekcji w głąb duszy tym razem Joachima Lelewela. Wołają go, by objął duchowe kierownictwo ruchu. Lecz on odmawia, bo oto w przyległym pokoju umiera jego ojciec Prot. Wreszcie dwa końcowe obrazy — dziewiąty nastrojowo-refleksyjny na wyspie w teatrze łańcuchowym i dziesiąty w Alejach Ujazdowskich, w którym W. Ks. Konstancy po wstrząsającej rozmowie z Krasieńskim każe wypuścić z więzienia Prometeusza polskiego — Łukasieńskiego.

Na określenie sposobu, w jaki wystawiono i odegrano to nieśmiertelne dzieło Wyspiańskiego, potrzebaby



Szkola wojskowa aplikacyjna.

użyć zbyt wielu superlatywów, aby je warto było powtarzać. Wystarczy powiedzieć, że wieczór sobotni wejdzie do kronik teatru krakowskiego, jako jeden z najpiękniejszych momentów jego ciągłego dążenia na wyżyny doskonałej sztuki. Numer porządkowy afiszu 4748 powinien być w rejestrze grubo podkreślony, bo oznacza rzeczywistość pewien punkt szczytowy w rezultatach estetycznych, które teatrowi krakowskiemu udawało się osiągać. W wieńcu dyrektorskiej i aktorskiej sławy p. Ludwika Solskiego pojawił się tego wieczora nowy warzyw, który powinien mu być tem droższym i zaszczytniejszym, im słuszniej mu się za jego niezmordowaną pracę należy.

Całe przedstawienie stało na poziomie najwyższych wymagań, jakie się nowoczesnemu teatrowi wzorowemu stawia. „Deutsches Theater” w Berlinie, teatr Stanisławskiego w Moskwie nie o wiele byłby mogli przewyższyć teatr krakowski w tym względzie, chociaż o całe niebo przewyższają go zasobem środków materialnych i sił. Obok ogromnych kosztów, które pociągnęła za sobą wysoce chwalebna staranność w całym arrangement sztuki, włożono w nie tyle pietyzmu, tyle wyteżającej, cichej, nieustannej pracy, że wystawienie „Nocy Listopadowej” stanie się odtąd wzorem, godnym naśladowania na wszystkich naszych scenach narodowych.

Cóż mówić o artystach? Mając takiego przewodnika, jak Solski, nie mogli przecie grać inaczej, niż grali, t. j. znakomicie i w tym tonie nieskończenie szlachetnym, dalekim od wszelkiego kabotynizmu, który wydobyć można tylko przez całkowite podprowadzenie jednostki aktora zadaniom i celom sztuki. Zdumiewające siłą akcenty wydobył Sosnowski z powierzonej sobie ro-

li Konstantego, którego postać dziwna, miotana sprzecznymi uczuciami, stanęła przed nami w delikatnym, przejrzystym, idealnie wykończonym, a jednak energicznym rysunku, jak w akwafortcie. P. Irena Solska w roli Joanny roztoczyła przed widzami całą przepych swych niezwykłych środków scenicznych, osiągając rezultat znakomity. Jej Joanna wstrząsała rzeczywistość trągiżem swojego losu. Pani Ordon-Sosnowska w roli Korry i Wysocka, jako Pallas, wydobyły również ze skarbów swoich talentów najpiękniejsze klejnoty uczucia, którymi przyozdobiły hojnie swe trudne deklamacyjne role. Szczególnie p. Ordon-Sosnowska, jako Kora, dała widzom wysokie zadowolenie niezwykłą harmonią szczegółów w swojej prześlicznej kreacji.

Wiadomo, że w dziełach Wyspiańskiego pierwiastek malarsko-dekoracyjny odgrywa bardzo ważną rolę. Z tego powodu dekoracyjna strona przedstawienia dzieła jego ma zawsze pierwszorzędne znaczenie i wymaga dużej współtwórczości ze strony malarza dekoracyjnego. Zadanie to rozwiązał dekorator teatru krakowskiego, p. Spitzlar, w sposób, zasługujący na najwyższą pochwałę. Takich dekoracji, jakie roztoczył przed nami ten niezwykle pracowity i niemniej utalentowany artysta, nie widuje się często.

Do podniesienia i utrzymania nastroju wysokiego, jaki niepodzielnie przez cały czas tego pamiętnego przedstawienia panował, przyczynił się również w wysokiej mierze utalentowany i wiele obiecujący muzyk, p. Bolesław Racyński, którego muzyka, aczkolwiek ze względów technicznych znacznie skrócona, harmonizowała doskonale z najwznioślejszymi momentami akcji, ilustrując je i uzupełniając należycie.

KS.



Ulan.



Inwalida.

Z „Nocy Listopadowej“.

(Początek).

PALLAS.

Do mnie! Do mnie! Do mnie!
Zwycięskie duchy, w orli lot
powietrznym szlakiem
biegajcie we wichrowym szumie;
potrząsam władnym znakiem!
Wy wszystkie razem,
mężobójczem przysięgłe żelazem,
co byt poświęćcie dumie;
na szczytach Hymetu, Ossy
Słońcu ślubujecie niezłomnie!
Ze szczytów Pelijonu
biegajcie, biegajcie tłumnie,
śmiertelnych żądne zgonu.
Oto stawiłam grot!
Hej ku mnie, ku mnie, ku mnie!

STANISŁAW WYSPIAŃSKI.



Adjutant jazdy 1815—1826.

*) Rysunki powyższe czerpiemy ze znakomitego dzieła Br. Gembarzewskiego p. t. „Wojsko polskie 1815—1830.”

PONOWA.

Z CYKLU: „WIEŚ”.

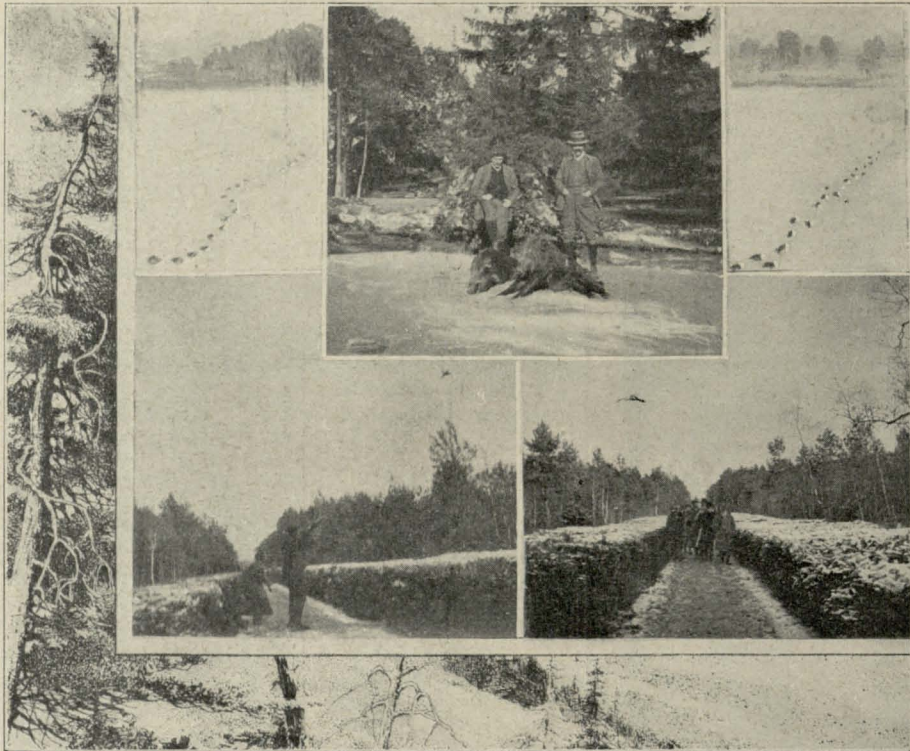
Wystroiła się zima po grudniowej zamieci—białą kielecką przywdziała, kiej „młoduca“, i... leci!

Leci polem.. lasami...

Wiater za nią, kiej „młody”! już dopadli opłotków, u Maćkowej zagrody! Już ją chwycił, wywinął i dalej—że w uściski... Że aż szyby zadzwiękły w chałupinie pobliskiej! aż się święte obrazy poruszyły na ścianie! że aż Maciek w garść chucha, choć jest w całej sukmanie!

Biało. Ponowa...

Jak sierpem rzucił, biało i biało, tylko gdzieś ludzie zdążyli już ciemniejszą steczkę wydeptać,



Ponowa.

tylko tu i owdzie świeża kretowina lub większa grudka ziemi z pod śnieżnego zaślania czernieje.

Przystroiła się ziemia w białe szatki, zaślana, niby obrusem białym na jakieś świętki...

Ponowa. Ranek wybielony w skrach wschodzącego słońca. Skrzypnęły odrzwia chat. Jaki taki wyżał. Drapie się w głowę...

Szkoda! zdałoby się jeszcze parę dni „gołych”. I „gadzin”, cboć po przymrozku, poskubałaby jeszcze po oziminach, i ściołki pograbić-by jeszcze można, i trochę drzewa „za sucha” z boru ściągnąć...

A teraz... przepadło! Sypie i sypie, a już bez tego okiść, aż się ano na choinach gną gałęzie!

Turbacja z tą ponową! a najgorzej o... buty. Póki świat „goły”, to jeszcze choćby w chałupie, albo pod wodą można, ale o śniegu to już nieładnie. A tu szewce takie zdzierusy, że strach! Na ostatnim jarmarku Grzela zapłacił za „belejakię wywrotki!” całe trzydzieści złotych! przez dziesiątki!

Zawdy biednemu latem ładniej.. Ale...

Tak już widać pisane, i zima być musi. Żebyś wzdychał, przewzdychał—nie poradzisz!

— Matka! a zdejmo kożuch z żerdki, bo usypało. Widać się zima na dobre kładzie.

Ponowa to rodzaj premiery łowieckiej!

Czy z nagonką, czy z pieskiem, czy choćby na „spotkanego”.

Bo wszystko, jak na dłoni. Na białej płachcie śniegów widać zdaleka czy „kocią” kotlinę, czy myszkującego lisa, i grubsze zwierza po tropie dojechać łatwiej!

Czytasz, jak z księgi. Cztery punkciki, dwa naprzód obok siebie, dwa z tyłu jeden za drugim, to szarak po ozimie *kicał*, żerując; sznurek tropów, jeden za

drugim wygniatanych—lis; raciczki, głęboko w śniegu wybite, to koza, spłoszona leśną okiścią; trochę szersze—kozieł, tęskniący za łąką, którą śnieżycy w pola zagnała.

I dojsć, i strzelić, i choćby „pułdo” po śniegu sprawdzić łatwiej.

Jest *farba* czy niema?

To też w ponowę w każdym myśliwskim gnieździe strzelby w robocie.

Tylko panie mniej zadowolone. Podłogi domyc się trudno. Wszędzie i po każdym ślady tej ponowy. Przyszedł karbowy świtkiem po klucze od stodoły, *natropił*... przyszedł ekonom—także, a cóż dopiero, gdy pan mąż z ubitym kotem z polówki wraca?

Daremnie Maryśka buty grochowinami wytarła. Próżno Kaśka „Bekasa” co trocha z pokoju wypędza...

I po panu i po psie tropy!

Rozpacz prostu!

Ponowa.

Zima się kładzie, jak ta na obrazku, wiszącym w saloniku.

Biało i biało, jak na obrazku.

I wrony się tłuką, i bór podobny woddali czernieje.

Tylko, że na tamtej... na starym sztychu...

I biegają oczy od tej byłej do tej, co idzie, a za oczyma dumanie serdeczne...

Ile takich zim było! ile! ile żrenic wpatrywało się w płaszcz gronostajowy ziemi swojej i nie swojej!

I dziś podobnie patrzą na tę nową, przygarścią starych wspomnień parzących—jak się kładzie, jak się ułożyła, niby panna w trumience.

Białe szatki jej dali, krzyż przydrożny ma w ręce, zielny wianek na skroni z jałowcowej podszywki...

A dokoła krewniacy, nucą żale i śpiewki...

Płacze gaik olchowy, łkają sosny-matule, białe brzożki z żalości rozdierają koszule!

Nad trumienką schylony dąb-dziadulo zawodzi...

Płaczą wierzy, osiki, płaczą starzy i młodzi!

Niby cicho, a gwaro... niby jasno, a smutnie...

To gdzieś żóraw zaskrzypi, wiatr uderzy o wrótnie...

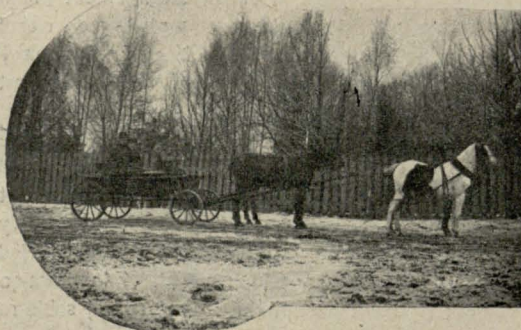
To z nad kurnej chatyny

Dym się w w kłębach rozbieży...

Ułożyła się zima,

Jak w trumience—i... leży!

K. LASKOWSKI.



Pierwszy śnieg.

Roraty

starowarszawskie.

Spadł śnieg srebrny na starą Warszawę, dyamentami w gwiazd blasku się mieni, księżyc światła zapala jaskrawe, jakby w skarbcu kosztownych kamieni, dachy płoną barwiciej i jaśniej, niż, gdy słońce pozłotę im dawa,—i wygląda tak pięknie, jak w baśni, staroświecka uśpiona Warszawa.

Kamienice odwieczne na rynku, jak patrycyat w odświętnej odzieży, w uroczystym stanęły ordynku, ni to huflce poważnych rycerzy; w srebrno-białych kołpakach ich głowy do błękitu się wznoszą z modlitwą, nim się ozwie dźwięk trąbki bojowej, zuchowata pobudka przed bitwą.

* * *

I tak cicho, tak cicho dokoła, jak w mistycznych przestworach zaświata, zda się, słycać szmer skrzydeł anioła, co gwieździstym błękitem przelata, zda się, zesłała na ziemię tęsknota z melancholią, swą siostrą rodzoną, i zadumy tęczową nić mota, i osnuwa Warszawę uśpioną.

Lecz pomału w okienkach kamienic tu i owdzie błyszcząca lśni świeczka, odchylają się deski okienic i wygląda uroczą twarzyczka, albo łeb się wychyli wąsaty, w okularach na nosie nieładą, oddechuje srebrne mrozu kwiaty, i pogodę pilnym okiem bada.

* * *

Zaludniają się wązkie uliczki, na roraty tłum dąży do Fary, widzisz panien różowe twarzączki, przy nich ojciec posuwa się stary, pani matka w swej lisiej salopie, drepce z książką w oprawie z safianu,—i rodzina przez śniegi się kopie, aby złożyć u Fary hołd Panu.

Idą majstry cechowe: ich pompa jest oznaką godności wysokiej, młoda czeladź mniej poważnie stąpa, dudnią rzeźwo siarczyste ich kroki, człapie siwy emeryt schylony i staruszka, wdowa po majorze, a za nimi, jak ptaszek spłoszony, leci szwaczka, trzpiot—dziewczątka hoże.

* * *

Kościół pełny. Typowe postacie, siedzą w ławach w modlitwie skupionej, ta w odwiecznej z „pruskich czasów” szacie, owa z „Księstwa” w opończy zielonej; w rogu siedzi staruszek w czarnej, co pamięta króla Stanisława, stare stroje, staroświeckie twarze, starodawna pocziwa Warszawa.

Uroczyście zagrały organy, lecą duchy na błękit do Boga, starej Fary zatrzęsły się ściany, i pieśń płynie: ku gwiazdom jej droga. Lśnią marmury nagrobków, lśnią lica, z malowideł na murach kościoła, a pieśń dusze tęsknotą nasycą, bije w niebo—i prosi—i woła.

* * *

Zaludniły się znowu uliczki, noc trwa mroźna, jasna, tajemnicza, w srebrnym blasku lśnią dziewcząt twarzączki i wąsate pocziwe oblicza, dążą rzesze do domów od Fary, srebrny księżyc się smętnie uśmiecha, siódmą ranną wybiły zegary, gdzieś za Wisłę dźwięk poniosły echa.

I wnet znikła powaga surowa, słycać śmiechy, wesole szczebioty, tam dowcipne ozwały się słowa, tam nieśmiałe, a szczerze zaloty. Starzy myślą: „ma młodość swe prawa”, dobry umiech im lica ozłaca... staroświecka pocziwa Warszawa z staroświeckich roratów powraca...
ao.

Refleksy polityczne.

Nowa rakietka Wilhelma. — Anglia i Niemcy. — Czy będzie wojna? — Sytuacja na Bałkanach. — Szach uległ woli ludu... — Zmartwychwstający Łazarz.

Jeszcze nie przebrzmiały echa pierwszej awantury politycznej cesarza-romantyka, jak dziś Wilhelma nazywają pisma europejskie, gdy oto władca Prus staje się znowu promotorem nowej rakietki, niemniej sensacyjnej od poprzednich.

Kilka amerykańskich pism ogłosiło jednocześnie drugi interwiew, jaki miał Wilhelm na pokładzie jachtu „Hohenzollern” z dziennikarzem nowojorskim Halem. Treść jego przedstawia się tak.

Edward VII od dwóch lat gnębi Wilhelma II i utrudnia mu położenie. Anglia usiłuje podkopać stanowisko Niemiec na kontynencie, które jest hegemonią. Mimo to Niemcy są potężne, i gdyby wojna europejska, którą uważają powszechnie za nieuniknioną, miała nastąpić, to najlepiejby było, ażeby wybuchnęła jak najszybciej. Wilhelm II jest na nią dawno przygotowany i wyczekiwanie go nuży.

Sensacyjna ta rozmowa nabrała wielkiej wagi historycznej, gdyż teraz już ostatecznie ukazała się przed całym światem cywilizowanym przepastna otchłań między Anglią a Niemcami, t. j. między mocarstwem, najpotężniejszym na morzu, a mocarstwem, które uważa siebie za niezwyciężone na kontynencie.



Kawiarnie berlińskie, zajęte rozmowami o ostatnich interwiewach cesarskich.

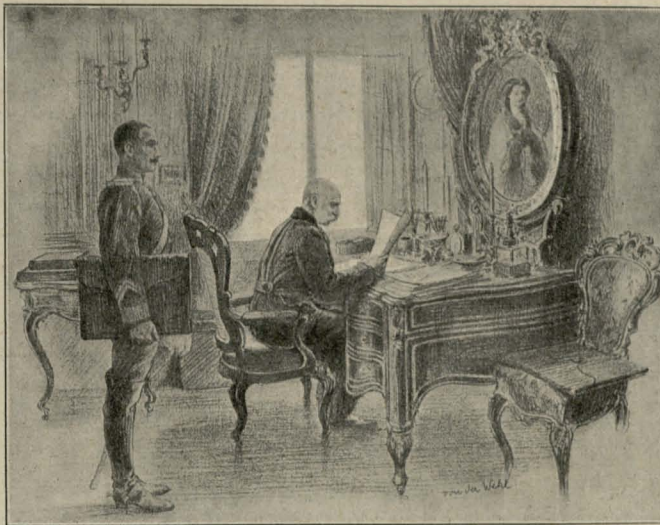
Rok obecny, zachmurzony przez kryzys bałkański, który bynajmniej się nie kończy, zanim ubiegną jego ostatnie tygodnie, pozrywa bandaże ze wszystkich ran, toczących życie międzynarodowe, a wśród nich bodajże najgłębszą i najboleśniejszą jest ta głucha wojna, którą prowadzi Anglia z Niemcami, wyczerpując swe zasoby na kolosalne przygotowania bojowe. Ostatnia uchwała parlamentu angielskiego, zatwierdzając projekt lorda Roberta, dowódcy armii, o powszechnej powinności wojskowej, daje doskonały wyraz temu, do czego zupełnie otwarcie dąży dziś Anglia.

Nie potrzeba wcale nadzwyczajnej domyślności, aby zrozumieć, dlaczego taka rezolucja uchwalona jest teraz. Główną rolę w tym wypadku odegrały szczerze i bezpośrednio wynurzenia Wilhelma II w rozmowach jego z dziennikarzami. I przez wszelkie już zaprzeczenia, czy oficjalne, czy nieoficjalne, Berlin nie zdoła naprawić sytuacji i wzbudzić zaufania ani w Anglii, ani w innych państwach.

Romantyczny monarcha Niemiec odczuł własnej zgotował ciężkie chwile, pozostawiając ją w zupełnym odosobnieniu wśród rzeszy państw współczesnych.

To też od dłuższego już czasu pytanie: czy będzie wojna? nie przestaje przykuwać ogólnej uwagi, tem więcej, że zatarg bałkański nastęrcza pole do stawiania najrozmaitszych problemów.

Z górą miesiąc czasu dzieli nas od owych dwóch znamienych faktów, jakie zaszły na półwyspie Bałkańskim, t. j. od ogłoszenia niepodległości Bułgarii i wcie-



Cesarz Franciszek Józef przyjmuje raporty w swoim gabinecie.

lenia Bośni i Hercegowiny do Austro-Węgier, a sytuacja wcale nie uległa zasadniczej zmianie. Punkty sporne pomiędzy Turcją a Bułgarią, oraz między Serbią a Austro-Węgrami istnieją, jak dawniej, i nic nie zaszczyt takiego, co by zapowiadało pokojowe załatwienie sporu.

Zatarg turecko-bułgarski nastęrcza daleko mniej bezpośredniego niebezpieczeństwa wybuchu wojny, lecz za to o wiele groźniej przedstawia się konflikt austro-serbski, tem więcej, iż nie zamyka się on w granicach zatargu pomiędzy dwoma temi państwami, posiadając daleko głębsze przyczyny polityczne.

Tkwia one w ogólnym przełomie, jaki nastąpił w układzie stosunków międzynarodowych w roku 1904/5, gdy wojna rosyjsko-japońska osłabiła Rosję i zachwiała przez to równowagę polityczną, która przez szereg lat stanowiła rękojmię pokoju w środkowej Europie. Osłabienie wewnętrzne Rosji musiało pociągnąć za sobą doniosłe skutki w pierwszej mierze na Bałkanach, gdzie oddawna krzyżują się i rywalizują między sobą najżywniejsze interesy Rosji a Austrii.

Dlatego też konflikt austro-serbski musi być rozpatrywany, jako częśćka tylko o wiele poważniejszego i groźniejszego konfliktu historycznego, jaki istnieje pomiędzy Austro-Węgrami i Rosją.

Narazie jednak z racji zimowej pory, utrudniającej działania bojowe, bezpośredniego niebezpieczeństwa wybuchu wojny ze strony Serbii niema, chociaż co do przyszłości z zupełną prawie pewnością utrzymywać można, że nad Driną i Dunajem zagrzmi jeszcze surma bojowa.

Interesująco bardzo i oryginalnie układa się sytuacja polityczna we współczesnej Persji, gdzie z powodu elastyczności, oraz iście azyatyckiego sprytu szacha co godzina prawie nowe alarmują prasę wieści.

Nidawno w Teheranie odgrywała się niezwykła tragikomedya na temat: „Szach ulega woli ludu”, lecz, niestety, nie powiodła się przemysłnemu władcy Wschodu. Muhamed-Ali spędził pod grozą śmierci nieliczną garstkę swoich stronników i... ulegając woli przedstawicieli narodu, zniósł konstytucję.

W manifeście swoim szach, pomiędzy innemi, powołuje się na duchowieństwo, które jakoby twierdzi, że „zaprowadzenie parlamentu przeczy istocie Islamu”. Tymczasem przedstawiciele opozycji perskiej, znajdujący się obecnie w Londynie, objaśniają, iż jest wręcz przeciwnie, gdyż duchowieństwo w Persji, nie licząc kilku mułłów-stronników szacha, również pragnie gorąco wprowadzenia konstytucji. I komu wierzyć?

Postępujemy, jak nam przedstawia współczesną sytuację w Persji jeden z przedstawicieli opozycji, drukujący artykuły swoje w języku niemieckim.

— Rozpatrując stan

rzeczy w Persji — tak pisze Pers-rewo-lucjonista — trzeba mieć na uwadze jeszcze jedną sprawę, nieznaną lub niedocenioną w Europie. Muhamed-Ali jest nieprawym synem Muzaf-er-edina i tylko zbiegowi okoliczności, oraz ustępstwu rządu zawdzięcza, iż stał się następcą tronu. Do tego trzeba dodać, iż matka Muhameda-Ali była kobietą podejrzaną konduity (w oryginalnie niemieckim bardzo jaskrawe wyrażenie) i jeszcze niedawno w stanie zupełnej nieprzytomności zjawiała się na ulicach Tebrysu, krzycząc do napotykanich mężczyzn:

— Cóż nie zwracacie na mnie uwagi?... Czyż nie jestem jeszcze młoda i piękna?

Władca Persji nie uczynił nic takiego, aby mu o tem zapomniano. To też już w pierwszych dniach obrad międzyliśu była wszczęta dyskusja nad prawami szacha, i to posłużyło za powód do wszelkich dalszych konfliktów pomiędzy szachem a narodem.

Oto, jak kończy Pers-literat swój interesujący artykuł:

— Obecnie sprawa ma się tak, że pomiędzy szachem, uzurpatorem i wiarołomcą, a pomiędzy nami żadnej zgody być nie może. Zerwaliśmy ostatecznie. Nikt z nas nie zapomni nigdy nadzwyczajnego upokorzenia Seida-Abdula, któremu szach wymierzył kilka policzków,



Rewolucyoniści perscy w Tebrysie bronią się przy pomocy archaicznych armat.

wyrywając włosy z siwej brody zasłużonego starca. Prędej czy później, my weźmiemy górę. Niczego nie spodziewamy się od obecnego szacha i nie chcemy znać go!

Poza Persją, na dalekim również Wschodzie, przykuwa do siebie uwagę jeszcze jedno rozrzucające wprost zjawisko. Do życia budzi się nanowo i zmartwychwstaje Łazarz, który, zdawało się, zamilkł już na zawsze, po okresach wielkiej świetności i majestatu — Egipt, kraina sfinksów i piramid, woła o konstytucję. I tam przeniknęły promienie jutrzeńki politycznej i kaskadę nowych blasków rzuciły na spopielone ruiny grobów.

K.



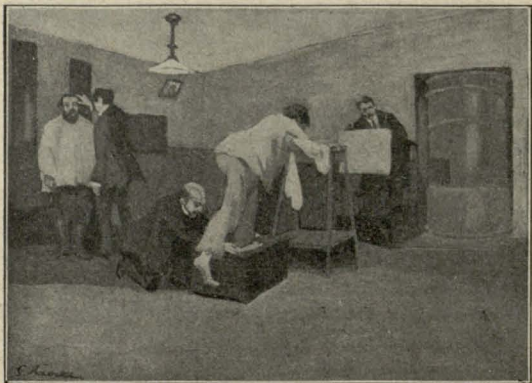
Europeizacya Kairu, przybycie ekspresu.

Współczesny detektywizm.

Genialnego Sherlocka Holmesa, który tyle rozgłosu i pieniędzy dostarczył Conan Doyle'owi, niestety, dziś już należy przekazać do archiwum pamiątek albo uważać za wytwór bujnej autorskiej imaginacji...

Wraz z niezwykłym rozwojem wielkich miast i nadzwyczajną różnorodnością zawodów, zajęć i sposobu życia wielkomiejskich mieszkańców — Sherlock Holmes stał się już zgoła niemożliwy. Pomimo całego ogromu swojego sprytu, który pozwala mu na podstawie okruszyn popiołu wyznać sklep, gdzie kupione było cygaro, a po resztkach błota na obuwiu poznać ulicę miasta, pomimo to wszystko w naszych warunkach Sherlock Holmes nie dałby już sobie rady z wyrafinowanym i zręcznym przestępcą najnowszej doby.

Postęp zaznaczył się wszędzie, nawet w dziedzinie zawodowej zbrodni i zawodowego złodziejstwa. Walka z przestępstwem w tej formie, w jakiej była prowadzona dawniej, nie dałaby pożądanego wyniku, szczególnie teraz, gdy złodzieje specjalizują się w swoim zawodzie, mają najnowsze udoskonalenia techniczne dla pomyślniejszego dokonywania operacji, a i środki komunikacji pozwalają im łatwiej i szybciej ukryć się przed okiem władzy. Pomimo to jednak większość przestępstw zawsze się wydaje, i żaden ze złoczyńców nie może się uważać za zupełnie spokojnego nawet po ukończeniu swej... zawodowej pracy.



Wymiar stopy i opisywanie cech charakterystycznych oka.

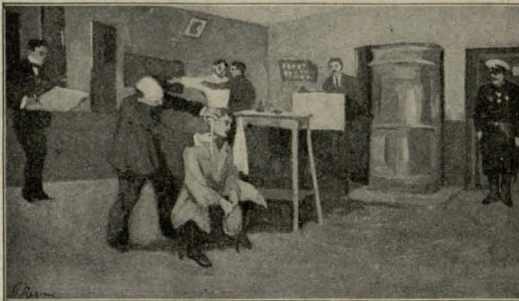
Cała rzecz polega na tem, że dziś nie tylko przestępcy udoskonalili sposób i środki swojego działania, lecz jednocześnie rozwinęły się i bardziej celowymi stały narzędzia walki. Współczesny detektywizm wysunął do wojny ze złoczyńcami nie oddzielne jednostki, jak było dawniej, lecz silną i sprawnie działającą organizację wraz z całym arsenałem najnowszch wynalazków i udoskonaleni.

To też dziś, szczególnie na Zachodzie, tak zwana kryminalna policja, godnie pojmująca swe wysoce obywatelskie zadanie, niejednokrotnie uprzedza fakt spełnienia nikczemnego czynu. Bo też wie o wszystkim. Złodzieje, łupieżcy i oszuści wszelkiego rodzaju to jej osobiści znajomi; wszelkie wertepy, schroniska i zbory ma zawsze na widoku; znani są jej różni nędzarze i bezdomni, paserzy i pomocnicy, tak że tylko nowy zupełnie przestępca może liczyć na pewne powodzenie, lecz i to na czas bardzo krótki. A jak tylko dostanie się w jej obroty, to już tak będzie zarejestrowany i opisany, że chyba nanowo musiałby się narodzić, by nie być poznany w przyszłości.

Fotografia, która dawniej tak wielką odgrywała rolę przy przekazywaniu zewnętrznej postaci przestępców przyszłym pokoleniom, dziś stała się środkiem podrzędnym. Bo i rzeczywiście, niech przejdzie kilka lat, niech wypadną zęby, ołysieje głowa i zmieni się sposób noszenia zarostu, nikt tożsamości osoby podług fotografii nie sprawdzi. A przytem przestępca najczęściej stara się przy

fotografowaniu zmienić wyraz twarzy, dbając o karierę swoją na przyszłość.

Jeszcze mniej sprawdza tożsamość osoby paszport, który raczej służy przestępcom do ukrywania prawdziwego nazwiska. Lecz, jeżeli zmierzyć kogokolwiek we wszystkich kierunkach i zachować wymiary wraz z fotografią i opisem cech charakterystycznych, kwestya cała na przyszłość ulega radykalnej zmianie, nie pozwalając przestępcy ukrywać już własnej osoby i nazwiska.



Wymiar ucha i rozpostartych rąk.

System wymiarów i cech charakterystycznych pierwszy zastosował i wprowadził do biura paryskiej kryminalnej policji Francuz Bertillon. Stamtąd rozpowszechnił się on po wszystkich kulturalnych krajach Europy i Ameryki.

Wymiary odbywają się w sposób następujący.

Bosonogiego przestępcę stawiają przy wymiarnicy i obliczają wzrost. Dajmy na to 1 m. i 70 cm., lecz wyliczenie to nie jest zupełnie pewne, gdyż przestępca mógł się pochylić, albo też wyciągnąć do góry, więc mierzy się go jeszcze raz w pozycji siedzącej. Następnie mierzy się długość rozpostartych rąk, wyciągniętych poziomo na prawo i na lewo. Dalej wymierza się długość i szerokość czaszki i prawego ucha, długość stopy u lewej nogi, środkowego i małego palca i wreszcie długość lewej ręki, poczynając od łokcia.

Na tem wymiar się kończy, i rozpoczyna się opisywanie cech charakterystycznych, a więc koloru włosów, lewego oka, ukształtowania nosa oraz specjalnych znaków, o ile badany je posiada.

Od roku 1907 do wymiarów dołączona jest jeszcze tak zwana daktyloskopia, t. j. drukowany



Wymiar objętości czaszki i wzrostu.

odcisk palców lewej ręki. Mówią, iż na całym świecie nie można znaleźć dwóch zupełnie jednakowych odcisków, więc, jako oznaka, po której można poznać w przyszłości przestępcę, odcisk należy do najpewniejszych.

W tym celu na stalowej tablicy rozsmaruje się pewną ilość drukarskiej farby i do czernionej powierzchni przykładają lewą rękę, a potem małe palce i wielkie palce obu rąk, by w ten sposób przenieść odbicie na papier.

Tak zarejestrowany przestępca uwiecznia się już na stałe, a jakkolwiek będzie się maskował

i kręcił w przyszłości, zawsze może być z łatwością i szybko poznany.

Prócz sposobów antropometrycznych dla skuteczniejszej walki z przestępcami i policja w niektórych państwach na Zachodzie zaprowadziła odpowiednio wytrenowane psy, które niemało napędzają strachu mętom wszelkiego rodzaju.

Jest to zastosowanie bardzo oryginalnie pomyslane i, jak się okazuje z praktyki kilku ostatnich lat, bardzo skuteczne. REMY.



Psy na usługach policji.

WIECZORY TEATRALNE I MUZYCZNE.

„Sposób na żony“, trzyaktowa krotchwila Z. Przybylskiego, w Teatrze Letnim. — „Syzyfowe potomstwo“ (cztery odstępny tragi-komedi rodzinnej) Władysława Jastrzębiec-Zalewskiego. — Wznowienie „Rigoletta“ i „Pana Damazego“. — Drugi koncert symfoniczny w Filharmonii. — Koncert Heleny Jaczynowskiej.

Jeden po drugim dano nam oglądać utwór sceniczny swojskiego wyrobu: „Syzyfowe potomstwo“ Władysława Zalewskiego, trzydziestoletniego dopiero autora „Molocha“ i „Umierających peret“, oraz „Sposób na żony“ nie potrzebującego żadnej zgoda rekomendacji Zygmunta Przybylskiego.

Na jednej i na drugiej premierze: sala pełna, zainteresowanie się szczerze, wystawa bardzo staranna, reżyseria wzorowa, na scenie siły aktorskie najlepsze... słowem, atmosfera dla popisu aktorskiego jak najpomyślniejsza.

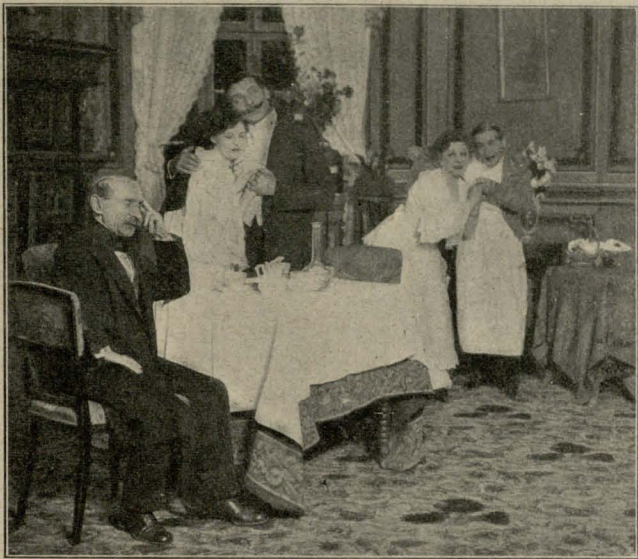
O „Sposobie na żony“ Przybylskiego powiem krótko. Po wystawieniu tej krotchwili autor popularnych „Wicka i Wacka“ — pozostał autorem „Wicka i Wacka“; żadnej mu wyższej rangi „u potomności“ wieczór sobotni zeszłego tygodnia nie da. Wygląda tylko, jakby Przybylski puścił się na napisanie farsy *à la française*, sporządzając jakieś rozluźnione na wszystkich szwach *potpourri* z różnych „cieszących się powodzeniem“ nieporozumień, szastań się, niemożliwych sytuacji i t. p. „kawałów“, wyrażając się wulgarnym żargonem. Ścisłe rzecz biorąc, oryginalnym jest chyba tylko wieczór... księżycowy, zalewający scenę sentymentem, a parę dobrze już steranych życiem i wojną domową małżonków — erotycznymi, całkiem realnymi reminiscencyami.

Wszystkie te jednak *zewewnętrzne* cechy farsy nie rewanżują jej wad. Gdyby nie najpracowiciej ruchliwa, ofiarna do ostatnich granic, gra artystów i artystek, jak wiadomo, zgranych ze sobą świetnie pod batutą p. Śliwińskiego, byłby „Sposób na żony“ nie do zniesienia nudnym stękiem płytkich andronów.

Jeżeli zaś publiczność, nawet poczęści parterowa, wybucha śmiechem, gdy ktoś na scenie woła, że stadło małżeńskie teścia i teściowej to... „szafran z powidłami!“ dalibóg, przychodzi mimowoli na myśl przysłowie o Pacu i pałacu.

I refleksya ta jest „wesołej“ farsy Przybylskiego, stroną — bardzo smutną. Miałaby już do tego stopnia zbezkrytycznieć i wyjąłowieć gust „warszawski?“

A może wżarło się do samego dna publiczności naszej przekonanie, że *farsa* powinna być obowiązkowo tylko i wyłącznie zbiornikiem nonsensów, oddanych na pomysłowość i kłownowanie aktorskie? Przypomnijmyż sobie krotchwile Fredry, lub „Złotego cielca“, ba, nawet choćby „Żołnierza królowej Madagaskaru“... Krotchwila to przecie też „rodzaj“ literatury, rodzaj kunsztu pisarskiego, rodzaj sztuki. I przeto mamy



„Sposób na żony”, komedia Z. Przybylskiego, scena 3, aktu I-go.

prawo wymagać, aby jej pióra literackie — nie ponie-
wierały.

I — nie powołujemy się na farsy francuskie! Można
ze stanowiska, etyki, logiki, pruderyi, z tysiąca stano-
wisk wydawać im najfatalniejsze świadectwo, ale — że,
zazwyczaj, są dziełami kunsztu pisarskiego, to są. Dla-
czego? Dla tej prostej przyczyny, że nie są... szafranem
z powidłami, czegoby nikt nie przelknął — nad Sekwaną.

Zaś „Syzyfowe potomstwo“ p. Zalewskiego, są-
dzą, że zasługuje na znaczenie większe i dłuższe wzglę-
dy publiczności, niż całkiem zewnętrzne efektowności
„Sposobu na żony“.

Jest to obrazowo traktowany epizod z życia ro-
dziny ziemiańskiej, która, utraciwszy na wsi grunt pod
nogami, przeniosła się do miasta, zachwiała się na nie-
udolnie pomyślanem przedsiębiorstwie *pension-de-famille*
i wraca na wiejską dziedziawę, aby utrzymać się
przy ostatnim kawałku chleba.

Dwóch przymiotów nie odmówić przedewszyst-
kiem temu realistycznemu obrazowi: bystrej obserwacji
życia oraz talentu pisarskiego, scenicznego. Z tymi dwo-
ma przymiotami w tornistrze szeregowca zająć można
w hierarchii autorskiej — daleko. P. Zalewski przeto
nie potrzebuje sztucznej pomocy usługowej reklamy. Niech-
by tylko zawsze trafiał na tak dobrą i staranną interpre-
tację, jak w Teatrze Małym, gdzie (obecnie po wyje-
ździe Maryana Gawalewicza na kurację zagraniczną) rzą-
dy sprawia reżyserskie wykształcony gruntownie artysta
dramatyczny, p. Michał Tarasiewicz.

Na widownię „Syzyfowego potomstwa“ wystę-
puje w wybitnych rolach aż dwanaście osób; akcja sztuki
rozgałęziona obficie, sytuacji i epizodów nader sporo.
I z całym tym aparatem młody autor, wyjąwszy może
parę zachwiał się lekkich, dał sobie najdoskonalej radę.
Zarysowuje sceny śmiało, układa je z wyraźnym nerwem
scenicznym, wypowiada się jasno.

Wytrawniejszy pisarz nie byłby tak nieopatrznie
hojnym w nagromadzeniu na widowni czterech krótkich
odstón tyłu rysów, epizodów, sytuacji. P. Zalewski
pragnął powygrzywać atutów — *za wiele*. Pośpiech w wy-
szafowywaniu efektu, co tylko wprowadzonego w grę, za-
hamował, z natury rzeczy, pogłębienie fabuły całej. Wy-
rażę się trywialnie. W obawie, aby *menu* uczyły nie
było zbyt kuse, nie rzecz: sto potraw zaprawić, zamie-
szać i podawać na gorąco — byle śpieszniej jedna po
drugiej. Przeciwnie: niech będzie dań mniej, ale niech
każde należycie i gruntownie się wypieczę, ustoi i sma-
ku poważniejszego nabierze.

Bohaterem sztuki jest faktycznie młody, a głupi
Janek Chorążeczki, któremu się zdaje, że prowadzi wiel-
ką akcję życiową, a w gruncie rzeczy ma pstro w głó-
wie i tandetę w duszy. I tandeta owa zbyt wielu uwi-
doczniona szczegółami, na których psychologiczne po-
głębienie — nie starczyło czasu w słusznej obawie, aby
sztuki nie przewlec i nie rozwlęc. Gra p. Lenczewskie-
go, jeżeliby mogła pozbyć się zbyt obfitej, a jednostaj-
nej „żywości“, akcentowanej jednakowymi gestami — była-
by bez zarzutu, gdyż ideowo jego Janek skonstruowany
zupełnie trafnie.

Z mocno drastycznych sytuacji swoich (ale bynaj-
mniej nie rozmijających się z prawdą życiową) wyszli
z pełnym honorem panie Staszewska (Paula Chorążecz-
ka) i Łacka-Pawłowska (córka Pauli, Cecylia) oraz p. Or-

liński (Eustachy). A nikt chyba z obec-
nych na premierze nie zapomni postaci
bankiera Leona Kilien w umiejętniej, od-
robinę tylko szarżowanej interpretacji
p. Noskowskiego, oraz wybornej ciotki
Chorążeczkiej (p. Czeremużyńska).

Jest-że jednak ów cały obraz, bar-
dzo prawdziwy, wykrawkiem tylko z ży-
cia potocznego, fotografią obyczajową?
Bynajmniej. Jest — portretem, to znaczy,
skomponowanym indywidualnie wizerun-
kiem jednej z cech obyczajowości naszej.
A mianowicie: smaga ów wizerunek,
wcale gorzko nawet, wpływ demoralizu-
jący i rujnujący: raz trybu życia, zwane-
go *polnische Wirtschaft*, a powtóre
atmosfery miejskiej bardzo rozpowszech-
nionej, a której otworzono drzwi i okna
w domu Chorążeczek. Przeto też, gdy
stary Chorążeczki, ratując już sam byt
rodziny, wygania ją z powrotem na wieś,
wybuch jego rzuca jakby światło nagłe

na obraz i uwidocznia dopiero całe tałałajstwo, które
autor przed nami rozwinął.

Więc jest w sztuce — „tendencja“?... Jest — i grze-
chu w tem żadnego nie widzę. Nie bródzi bynajmniej
ironicznej satyrze; podkreśla ją tylko na chwilę przed
zapadnięciem kurtyny. W miarę i w porę.

Nie tylko przeto na widowni teatralnej naszej
w ciągu ubiegłego tygodnia mieliśmy jubileuszową uro-
czystość zawodowego czterdziestolecia p. Sikorskiego,
ulubionego artysty krotchwili, lecz święciliśmy jeszcze
milszą uroczystość powstania nowego talentu pisarskiego,
poświęcającego się scenie polskiej.

Zyczymy mu gorąco jak najbujniejszego rozrostu
i rozkwitu.

*

Czy „Pan Damazy“ Blizińskiego (1877) należy
do „klasycznego“ repertuaru naszego? Jedni utrzymują,
że już należy; drudzy, że nie należy *jeszcze*... Stanął-
bym po stronie tych ostatnich. Niech jeszcze na „Panu
Damazym“ osiada staroświeckości patyna. Potem — zoba-
czymy, t. j. potomna zadecyduje, czy czas nie skru-
szył „treści wewnętrznej“ „Pana Damazego“, jak zdą-
żył już uczynić dla nas niemodną fakturę komedii,
a ostudził znacznie tak niedawne jeszcze zachwyty dla
„najznakomitszego po Fredrze arcydzieła komedii pol-
skiej“. Tymi dniami wznowił p. Kamiński w Rozmaito-
ściach komedię Blizińskiego. Przez pietyzm dla „arcy-
dzieła“? Ejże!... Wznowił dlatego, aby dowieść, że re-
jenta Bajdalskiego zagrać potrafi nie gorzej, a może i le-
piej, niż p. Rapacki.

Zagrał go — inaczej. Zamiast typu (palestranta
wyższej sfery) wprowadził do komedii figurę gryzi-
piórka podrzędnego gatunku, w dodatku nie pozbawio-
ną pewnego odcienia karykaturalności. Osypał ją, oby-
czajem swoim, mnóstwem wyborych szczegółów wir-
tuozowskiej gry aktorskiej. Ciekawe... bardzo ciekawe...

Ale czy w stylu komedii
Blizińskiego? Na taki popis
pro domo sua pozwolić
sobie można np. w „Dya-
ble“ Molnara, bo od tego
jest ów „Dyabeł“. Ale,
jeżeli chodziło o pietyzm
dla „najznakomitszego po
Fredrze“ i t. d., jak wyżej,
tedy — gdzie ów pietyzm?

W stylu Blizińskiego,
oraz w świetnej charakte-
rystyce postaci nie miał
sobie równego na scenie —
p. Wojdałowicz (Damazy).
Błysnęła też wrodzonym ta-
lentem i pewną już siebie
techniką aktorską młodziut-
ka p. Lubicz-Sarnowska.

Wystawę pięknie od-
nowiono; publiczność sta-
wiła się tłumnie; wieczór
teatralny miał cechę pewnej
uroczystości. Wszystko to
złożyło się na bardzo *cor-
rect* i interesujące — „wzno-
wienie“.

Był sobie król... Na imię mu w dziejach: Fran-
ciszek I-szy, a tyłuż w polityce zawodów doznał, ilu po-
wodzeń w miłosnych przeprawach. Był sobie hrabia,
a nawet czy nie zwykły tylko, lecz wysokiej krwi szlach-
cic, pan de Saint-Vallier; córkę mu król zbałamucił,
uczyniwszy ją nie tylko metresą swoją, lecz i głośną
w dziejach Dyaną de Poitiers. Był sobie błazen na dwor-
ze królewskim, Triboulet, co go przeklął pan de Saint-
Vallier, gdy urągać począł ojcowskiej rozpacz...
Ależ to „Rigoletto“! Znamy!... znamy!

Doprawdy? No, to wspomnę tylko, że go właśnie
w operze naszej wznowiono, jak się patrzy i jak przy-
zwitość cenzuralna nakazuje, z „księciem mantuań-
skim“ zamiast króla Franciszka, z Rigolettem zamiast
Triboulet'a, z *La donna e mobile*, ze słynnym kwarte-
tem ostatniego aktu, ale bez *Caro nome*, której to
aryi tak niezmiernie pięknej nie śpiewa p. Tracikiewi-
czówna ze względu na koloraturowe trudności.

Wypadałoby, może wspomnieć o innych jeszcze,
wielce dotkliwych „niepełnościach“ wokalnych naszego
warszawskiego „Rigoletta“ — ale... jakże za to świetnie
udają się nam wielkie symfoniczne koncerty w Filhar-
monii, którym z nabożeństwem chodzi tłumnie przysłu-
chiwać się publiczność, którejby się nie posądzało
o zbytne uwielbienie dla muzyki arcy-poważnej.

Czy to p. Fitelberg cuda takie czyni nadwzyczaj-
nym dyrygowaniem swoim?

Rzecz oczywista, że przy takich, jakby monumen-
talnych wykonaniach monumentalnych dzieł na potęż-
nym instrumencie nowoczesnej pełnej orkiestry — jakże
prawie nikłym wyda się fortepian, zwłaszcza rozbrzmie-
wający w wielkiej koncertowej sali.

Jednak wcale nie bez wrażenia przemknął po
sezonie obecnym muzycznym *recital* fortepianowy

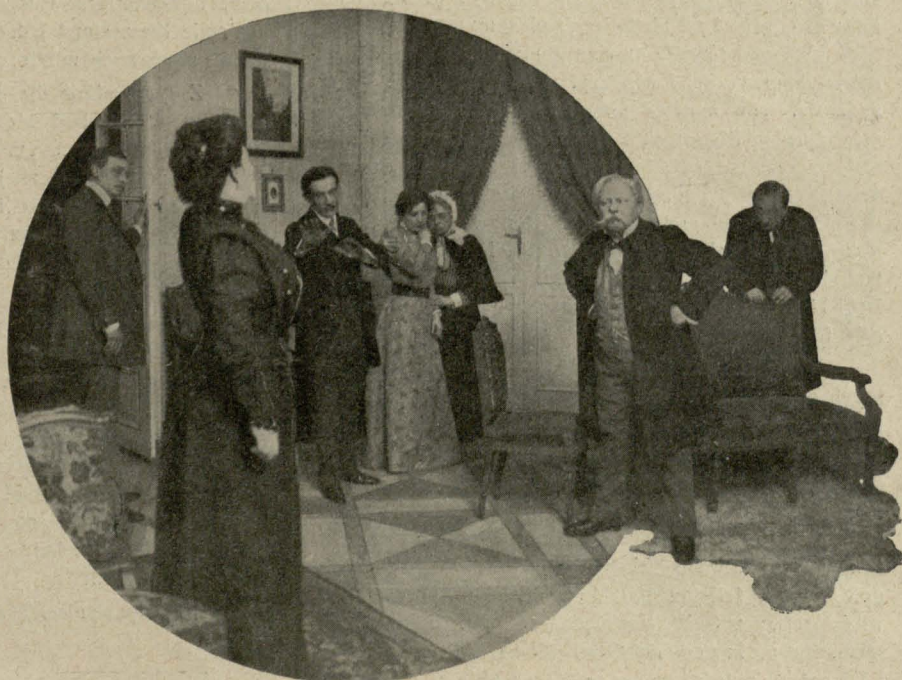


Katarzyna Jaczynowska.

światłej artystki, p.
Heleny Jaczynow-
skiej. Wdzięk, sub-
telność, uczucie,
smak wykwinny, a
obok tych zalet,
które dały asumpt
krytykom do mó-
wienia o „kobieco-
ści“ gry p. Jaczy-
nowskiej, siła, doby-
wająca z instrumen-
tu szlachetnym ude-
rzeniem ton niepo-
wiedznie duży: oto
naczelnne cechy bar-
dzo sumiennej i wytrawnej interpretacji, przyjmowanej
przez słuchaczy wręcz owacyjnie. Rzecz oczywista, że
o skończonej technice nikt już dziś nie wspomina wobec
artystki tej miary.

Wielka sonata Fis-moll Schumanna oraz ballada
i preludium Chopina stanowiły najpiękniejsze momenty
koncertu.

CZESŁAW JANKOWSKI.



„Pan Damazy“ J. Blizińskiego. Scena 2 aktu III. Od lewej ku prawej: PP. Wolski, Majchrzycka, Roland, Trapszo-Krywultowa, Micińska, Wojdałowicz, Kamiński.



P. P. Stifelman, F. Ejsmond, A. Gawiński, Kowalewski, Krasnodębski, Bylewski, I. Łopieński

DELEGACJA I JURY WYSTAWY DOROCZNEJ SALONU T. Z. S. P., OTWARTEJ W DNIU 5 b. m.

Z pism i książek.

Prasa nasza codzienna, przeszedłszy burzę rewolucyjną, skrzepla, nabrała tęgości i powagi, zbliżając się coraz bardziej, powoli, ale statecznie, do typu wielkich dzienników Zachodu.

Jedno z pierwszych miejsc wśród organów naszych należy się bezsprzecznie *Kuryerowi Warszawskiemu*, najstarszemu z nich, godnie reprezentującemu już od trzech z górą ćwierćwieczy wielkie tradycje wiernej i zbożnej służby publicznej. Podkreślić tu winniśmy wielką staranność o stronę literacką pisma, które zawsze korzystało i korzysta z prac pierwszorzędnych piór polskich. W ostatnim tygodniu *Kuryer* rozpoczął w odcinku druk fantazyjnej powieściowej, o wielkich zaletach literackich, p. t. „Zwycięzca”; autorem tego pięknego utworu jest Jerzy Zuławski, treścią—dzieje nowego rodu ludzkiego na księżycu, potomstwa owych śmiałków, którzy w powieści „Na srebrnym globie” z ziemi wywedrowali na bladolicę planety.

Wysoko również trzyma podniesiony sztandar publicystyki poważnej i aspiracji literackich *Głos Warszawski*. Nie mówiąc już o wyczerpującym roztrząsaniu spraw politycznych i społecznych, czem organ ten, starannie zawsze unikający wszelkiej sensacji i zdawkowości, celował, podnieść musimy wielką dbałość pisma o stronę literacko-artystyczną: felietony literackie Władysława Jabłonowskiego, artystyczne Stefana Popowskiego, teatralne Tadeusza Jaroszyńskiego, społeczne Zdzisława Dębickiego, składają się w tym dziale na całość poważną i fachową.

Poważnie też zapowiada się najmłodszy z naszych organów prasy codziennej, *Dzień* p. Stefana Gorskiego, którego Nr. 1 z dn. 1 grudnia, oprócz działów bieżących, korespondencyj, obfitych telegramów, przeglądów i t. p., zawiera szereg artykułów poważnych, np. prof. S. Askenazego: „Dwie chwile”, „Pro i contra”, „Wywiad u prezesa Dumy, Chomiakowa”, korespondencyja z Krakowa o „Nocy listopadowej” Wyspiańskiego, wyborny felieton łódzki, w odcinku—początek powieści satyrycznej W. Kosiakiewicza, p. t. „Pobyt w Petersburgu p. Inocentego Ostoi Mokryjewicza, pośta do I Dumy”. Poprzedza numer serdeczne *avis aux lecteurs*, p. t. „Czytelnicy, witamy was!”

Dziś, przy zbliżającej się gwiazdce, niepodobna oprzeć się chęci powołania przed sąd publiczny naszych pism dla młodzieży. Z pośród nich niewątpliwie najlepiej prowadzone są *Wieczory Rodzinne*, pod umiejętnym kierownictwem znanego poety, p. Ignacego Balińskiego. Oddający się całą duszą umiłowanej swej, a tak wdzięcznej pracy redaktor zdaje sobie doskonale sprawę z tego, jak ważną rolę odgrywa w życiu dziecięcym i młodzieńczym odpowiednio dobrana, świadomie odpowiadająca swym celom etycznym i estetycznym lektura; środek to wychowawczy pierwszorzędnej wagi, kształci nie tylko umysł, ale i serce, i wyobraźnię. *Wieczory* wszystkim tym potrzebom młodych dusz czynią zadość najzupełniej. A jakie umieją wzbudzać zaciekawienie! z jakąż niecierpliwością mali i więksi czytelnicy oczekują soboty, kiedy to do ich pokoiów nadejdzie świeży numer *Wieczorów*! Prawdziwa to zaśluga kierownika, który potrafił uczynić pismo i poważnym, i popularnym zarazem, utrzymać je na wysokim poziomie literackim i jednocześnie zastosować się do potrzeb umysłowych młodego pokolenia.

Z tygodników dla kobiet wysuwa się na czoło *Bluszcz*, który, pod kierunkiem p. Zofii Seidlerowej, jest nie tylko pismem „modnym”, ale przede wszystkim organem pracy społecznej kobiet; *Bluszcz* otrzymuje zewsząd oznaki uznania i wdzięczności, których echa przedostały się i do naszej redakcji.

Wreszcie—słowo jeszcze o nowym czasopiśmie literackim: p. Michał Pawlikowski (Lwów, ul. Trzeciego Maja, 5) zapowiedział wydawnictwo kwartalnika p. t. *Lamus*, gdzie zamieszczane będą w jednym dziele wybitne utwory współczesnej literatury, w drugim—zapomniane dawnej; w ten sposób *Lamus* pragnie z „żywym naprzód iść i świecić”, ale i „nie burzyć przeszłości ołtarzy”. W pierwszym zeszycie znajdują się, obok Ujejskiego, Romanowskiego, J. B. Zaleskiego, Asnyka, Norwida, imioną J. Kasprowicza, Wł. Tetmajera, L. Staffa, St. Wyspiańskiego i innych, ilustracje Wyczółkowskiego, Grotgera, Matejki.

Młodemu wydawnictwu zasyłamy serdeczne: Szczęść, Boże!

g.

List J. Makarewicza.

W imię bezstronności zamieszczamy, co następuje:

Szanowny Panie Redaktorze!

Będę Szanownemu Panu bardzo wdzięczny, jeśli, pozwoliwszy panu Eligiuszowi Niewiadomskiemu na wydrukowanie w Nrze 47 *Tygodnika Ilustrowanego* pod tytułem „Józef Mehoffer” bardzo daleko przeciw mnie idących osobistych wycieczek, zamieścić raczy i tę moją obronę w najbliższym numerze *Tygodnika*.

Pomimo, że tego rodzaju pochwała witraży pana Mehoffera, zestawiona z takim poniewieraniem innych, bardzo jasno ilustruje intencje autora i wartość jego artykułu—na wycieczki, przeciw mnie wymierzone, co do smaku których czytelnicy pewnie sami sobie sąd wyrobili, oświadczyć muszę, iż nie mogę przyjąć całkowitej odpowiedzialności za witraż Kadłubka dlatego, że nie tylko całą górną część pierwotnej kompozycji, z dolną całością stanowiącą, komitet odrzucił, ale i fabryka, nie czekając na zastrzeżone sobie przeze mnie osobiste kierownictwo, dowolnie w mej nieobecności i koloryt, i transponowanie szkicu na witraż zastosowała. Wreszcie dodaję, że, wykonując zamówienie, nie wiedziałem ani o tem, że p. Mehoffer do tego samego okna karton już robił, ani o tem, że pp. Trojanowski i Uziębło „ofiary” ponieśli.

Proszę przyjąć wyrazy wysokiego poważania

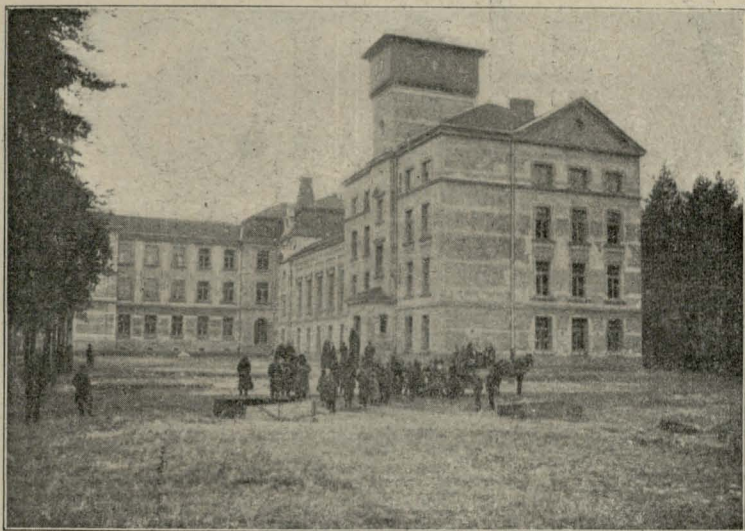
Juliusz Makarewicz.

Kraków, 29 listopada, 1908 r.

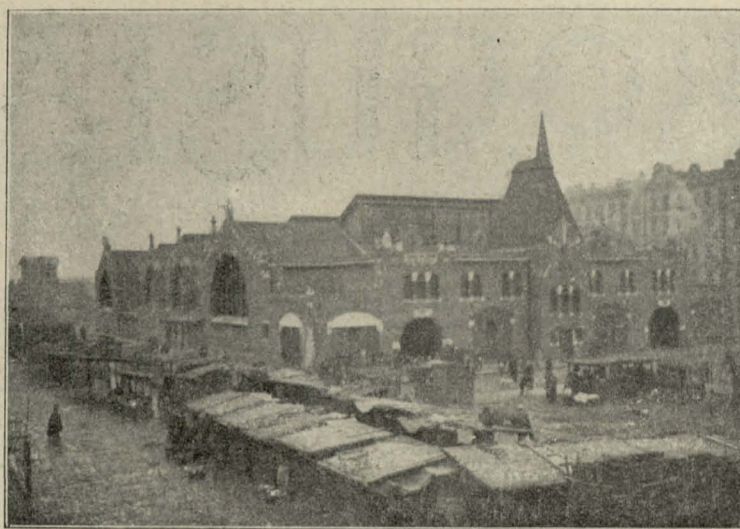
Tragedya magistracka.

S. p. *Stanisław Miłobędzki*, naczelnik wydziału administr. Magistratu warszawskiego, w dniu 30 z. m. pozabawił się życia podczas rewizji, dokonywanej, w jego mieszkaniu.





Gmach Sanatorium w Rudce, dla chorych piersiowych.



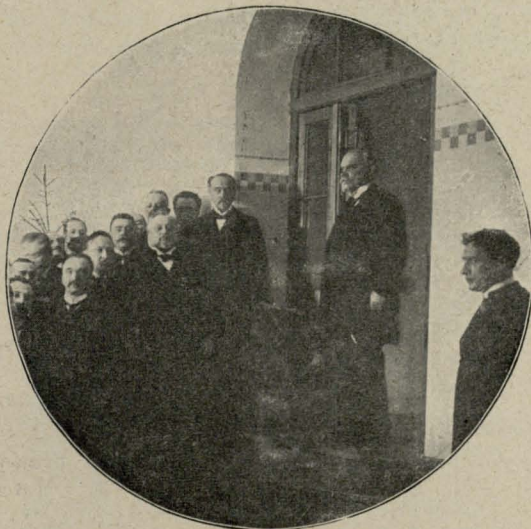
Nowe hale targowe na placu Witkowskiego, podł. projektu arch. Henryka Gaya.

Pożyteczne dzieło

WRAŻENIA Z SANATORIUM W RUDCE.

Dwa specjalne wagony wiozą nas do Rudki. Osób dużo. Przewaga po stronie wybitnych przedstawicieli naszego świata lekarskiego. Gwarno i wesoło.

— Dzień dzisiejszy nazwałbym świętem kultury polskiej. Sanatorium w Rudce to dowód wielkiego



Dr Dunin przemawia podczas poświęcenia sanatorium w Rudce (pod Mrozami).

czynu społecznego, energii polskiej i zabiegliwości — tak przemawia do grona kolegów sąsiad i towarzyszy mojej podróży, lekarz.

Na tem tle wywiązuje się ożywiona dyskusja o różnych potrzebach zbiorowych i o wadach i dodatnich stronach społeczeństwa naszego i jego akcji. Temat interesujący. Podczas rozmowy wyraźnie zaznacza się, że nasz stan lekarski to bardzo żywotna i prawdziwie po obywatelsku usposobiona zbiorowa część społeczeństwa polskiego.



Komitet organizacyjny Sanatorium w Rudce. Dr W. Szumlański, dr Szwajcer, inż. Matecki, dr Dunin (prezylujący), redaktor Libicki, dr Dobrzycki.

— Z żywymi trzeba naprzód iść, po życie sięgać nowe! — cytuje ktoś znane hasło Asnyka.

Dojechaliśmy do Mrozów. Odczepiają wagony. Wsiadamy. Ciekawość wzmagą się z każdą chwilą, aby jak najprędzej zobaczyć sanatorium w Rudce, o którym i z racyi którego tyle nasłuchałem się podczas podróży koleją.

Wistocie wrażenie niezwykle. Ni stąd, ni zowąd, jakby za skinieniem różdżki czarodziejskiej, wyłania się z leśnych przestworzy śliczny gmach murowany, nad wyraz okazały, a prawdziwie europejski komfort i konstrukcja odrazu rzucają się w oczy.

— Proszę podkreślić jedną cechę zewnętrzną, która podnosi gmach sanatorium w Rudce — zwraca się do mnie jeden z lekarzy. — Jest on, że tak powiem, zbudowany pogodnie i wesoło. A to bardzo wiele. Gmachy sanatoryjne odznaczają się monotonią, drażnią chorego po dłuższym pobycie, tu tego nie będzie.

Zbieramy się w bajecznie wprost urządzonej sali, przeznaczonej na miejsce zebrań i poczekalni. Tu ma nastąpić uroczysty akt otwarcia sanatorium i ceremonia poświęcenia.

— Oby społeczeństwo nasze tak się wywiązało z długu wdzięczności swojej względem doskonałego dzieła, jak dr Dunin wywiązał się z obowiązków wielkiej miary obywatela względem własnego społeczeństwa — temi słowy zakończył redaktor Libicki swoje przemówienie, a oczy wszystkich z wdzięcznością i uznaniem zwróciły się na obywatela-lekarza, i długie, nie milknące brawo, jakby kaskadą pochwalnego hymnu, zapęłniło gmach sanatorium w Rudce.

Dalej nastąpiło szczegółowe oglądanie urządzeń i ubikacji sanatoryjnych.

Wszędzie najnowsze zastosowania, oraz ostatnie wyniki techniki i sanatoryjnej konstrukcji, a jak zaznaczyli lekarze, którzy znają sanatoria w różnych krajach i państwach, jest to jedno z pierwszych wogóle. Całość gmachu, zajmowanego przez sanatorium, obliczona jest na 120 łóżek, lecz dotychczas wybudowano jedno skrzydło, mieszczące akurat połowę, bo 60 łóżek. W każdym razie dobudowanie drugiego skrzydła to tylko kwestya czasu i ofiarności publicznej, a przytem koszta będą już znacznie mniejsze, gdyż przy budowie całości gmachu brano pod uwagę przy urządzaniu ubikacji ogólnych nie 60, lecz 120 pomieszczeń dla chorych. Sanatorium w Rudce miało dawać pomoc bezpłatnie. Budżet roczny wymaga jednak około 40 tysięcy rubli na utrzymanie uzdrowiska. Niepodobna więc liczyć na stałą i tak znaczną ofiarność, i dlatego z konieczności urządzono sanatorium dla chorych niezamożnych i średniozamożnych. Pobyt na dobę kosztuje rb. 1.50 i rb. 2.30.

Przez sanatorium w Rudce społeczeństwo nasze wzbogaciło się o bardzo pożyteczną instytucję, która zasługuje na poparcie narodu.

R. K.

Sensacya w Paryżu.

Niezwykła sensacya podnieca od pewnego czasu cały Paryż, nabierając już dziś wszechświatowego rozgłosu. Bohaterką jej jest pani M. Steinheilowa, oskarżona o zamordowanie swego męża, znanego malarza-portrecisty. Stało się to przed sześciu miesiącami, a pani Steinheilowa tak dobrze odegrała rolę złamanej boleścią żony, że posądzano o zabójstwo najniewinniejsze jednostki, nikt zaś nie przypuszczał, gdzie szukać należy istotnej sprawczyńi. Dopiero kilku reporterów paryskich, rzucając się na ten nielada sensacyjny żer, odegrało z amatorstwa rolę Sherlocków Holmesów, wykazując sprzeczność zeznań pani Steinheilowej.

Teraz oto jednak, gdy zgromadzono już pewne niby rzeczowe dowody i materiały, panią Steinheilową władze sądowe muszą poddać obserwacyom psychiatry, gdyż wyłania się nowy szkopuł w sprawie co do poczytalności podsądnej, która albo rzeczywiście jest nie-normalna, albo też zaczyna doskonale odgrywać nową komedya, udając szaloną.

Cała sprawa pani Steinheilowej, pomimo wszystko, co zrobili już reporterzy paryscy, przedstawia się jednak niejasno, i pewności żadnej co do niej mieć nie można, a zainteresowanie całym wydarzeniem wzmagą się coraz bardziej, gdyż pani Steinheilowa była kochanką prezydenta Faure'a, który również umarł nagle i na jej rękach. Był to jedyny człowiek, który znał tajemnicę sprawy Dreyfusa, a więc do sprawy pani Steinheilowej dołączają się rozmaite kombinacye treści politycznej, dodając jej większego jeszcze zainteresowania i rozgłosu.



Małgorzata Steinheilowa z córką.

KONIEC DZIAŁU REDAKCYJNEGO.

BOGUSŁAW HERSE

POLECA
przed GWIAZDKĄ

WYKWINTNE
PRAKTYCZNE
UPOMINKI.

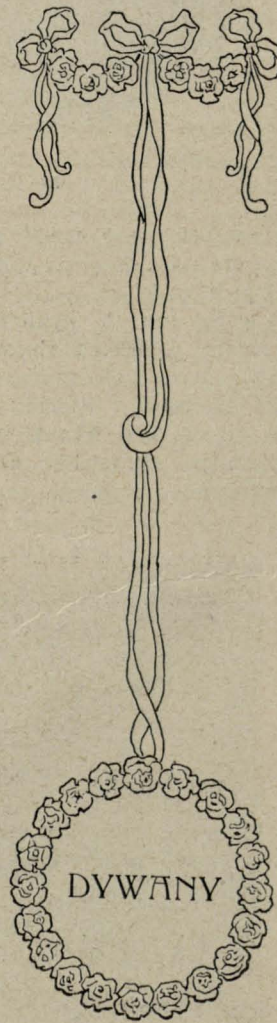
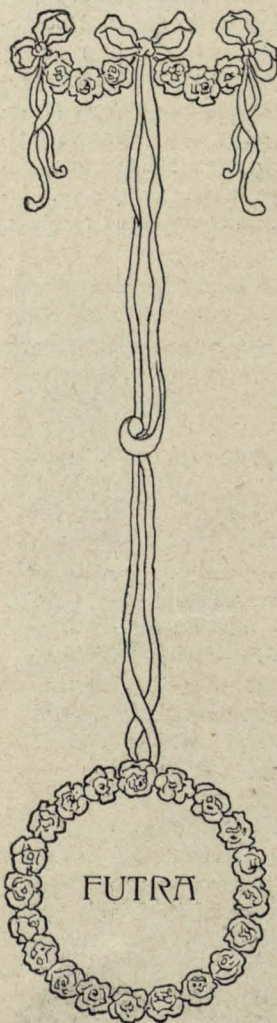
WARSZAWA
MARSZAŁKOWSKA 150

Adres telegraficzny:
HERSE-WARSZAWA
Telefony: 15-30
82-30



SUKNIE
KOSTIUMY
OKRYCIA
KAPELUSZE
BLUZKI
NEGLIZE

WĘLNY
JEDWABIE
AKSAMITY
KORONKI
WSTAŻKI
PRZYBRANIA



- | | | | | | |
|--------------------------|----------|-----------------------------|----------|---------------------------|----------|
| 11. Kołnierzyk batystowy | Rb. 0.60 | 22. Krawat „Bayadère” | Rb. 1.20 | 35. Torebka „SIOUX” | Rb. 8.50 |
| 12. Kołnierzyk batystowy | „ 0.85 | 23. Krawat z aksamitki | „ 1.25 | 36. Chusteczka z haft. | „ 1.75 |
| 13. Kołnierzyk „IRLANDE” | „ 1.20 | 24. Krawat z galonu | „ 5.50 | 37. Chusteczka z koronk. | „ 2.50 |
| 14. Sakiewka aksm. haft. | „ 24.— | 25. Krawat z aksamitki | „ 6.75 | 38. Boa kalankowe od | „ 17.50 |
| 15. Bluzka jedwabna | „ 22.— | 26. Torebka z aksamitki | „ 11.— | 38. Boa nurkowe | „ 20.— |
| 16. Frezka z haftu | „ 2.25 | 27. Żabot tiulowy srb. | „ 4.— | 38. Boa sobolowe | „ 50.— |
| 17. Opaska z krawatem | „ 2.75 | 28. Żabot tiulowy z dzierg. | „ 2.75 | 39. Kołnierz gronostajowy | „ 18.— |
| 18. Frezka z haftu | „ 2.75 | 29. Woreczek aksm. haft. | „ 24.— | 40. Podwiązki ozdobne | „ 5.— |
| 19. Boa z piór strusich | „ 65.— | 30. Pasek z torebką „SIOUX” | „ 15.— | 41. Pończochy jedw. | „ 5.75 |
| 20. Pasek „SIOUX” | „ 8.50 | 31. Krawat ozd. z aksamitki | „ 6.75 | 42. Krawat gronostajowy | „ 40.— |
| 21. Żabot koronkowy | „ 5.50 | 32. Pasek ozd. skórkowy | „ 6.50 | 43. „Pantalon-jupon” od | „ 20.— |
| | | 33. Rękawiczki 22 guz. | „ 5.— | 44. Mufka gronostajowa | „ 50.— |
| | | 34. Rękawiczki 12. „ | „ 3.50 | | |

Ostrzeżenie!

Ponieważ doszło do mej wiadomości, że firmy krakowskie sprzedają koniki wyrobu niemieckiego i czeskiego za krajowe, czuję się w obowiązku ostrzedz P. T. Publiczność, że przezemnie jednego w Galicyi wyrabiane koniki na bieżunach i deszczułkach, malowane i obciążane sierciową skórą, oddałem **na wyłączną i jedyną sprzedaż** na zachodnią Galicyę firmie

STEFAN POREBSKI
Kraków, Rynek 32, linia C-D

a inne są tylko **lichotą nie mającą** nic wspólnego z wyrobami krajowymi; dlatego proszę jedynie do tej firmy zwracać się tak z zakupem pojedynczo, jak i hurtownie.
Stanisław Syrek.

ALFONS MANN

Warszawa, **Tłomackie 3.**
 Fabryka założona w 1819 r.

Narzędzia lekarskie. Wprawy po-
 tożnicze. Bandaże i Pasy. Pończo-
 chy elastyczne. Trąbki słuchowe.
 Termophory (do gorących okładów.)

C-SKORYNA i SKA FABRYKA MASZYN
 I KAMIENI MŁYŃSKICH
 BUDOWA MŁYNÓW
 WARSZAWA - PRAGA WIELKIE ARTYKUŁY MŁYŃSKIE
 OLSZOWA 14 TURBINY, TRANSMISJE i t. p.

SRODKI do ZĘBÓW
 ELIKSIR, PROSZEK i PASTA
 Ojców
BENEDYKTYNÓW
 Opactwa SOULAC



WAŻNA UWAGA:
 Flakony eliksiru Benedyktynów nie
 opatrzone plombą komory celnej rossyjs-
 kiej powinny być uważane za podrobione.

MODEL FLAKONU

J. GOŁEMBIOWSKI
ZEGARMISTRZ

Marszałkowska 111

egzystuje od 1880 roku.

Magazyn zawsze zaopatrzonej w pierwszo-
 rzędny towar. Ceny niskie. Gwarancya
 poważna.

Dr. I. Wapiński ord. klin. szpitala
 świętego Łazarza
 Nowosenaorska 10. Telefon 942. Choroby
 skórne i wener. Do 12 rano i od 5-8 w.

Tow. Akc. **Haberbusch i Schiele**
 Browaru
 poleca **PIWO PILZEŃSKIE.**

MAŁECKI
 Fabryka
 Fortepianów
 i Pianin



PIĘKNA Nr 1 (róg Alei
 Ujazdowskiej) tel. 170,65.

Denaturowany spirytus.
 Spirytus stały w puszkach,
 spirytusowe lampy, palniki,
 suchenki, celazki i t. p.
B. CIA WIŚNIEWSKY I S.
 Foksal 16, Telefon 3063.



**Płaszcz, Peleryny,
 Obawie amerykańskie**

poleca magazyn nowości

ZOZISŁAW ZDANOWICZ

w Krakowie, ul. Sławkowska 13

LECZNICA DLA DZIECI

D-ra Juliana Gawrońskiego
 Plac Ś-go Aleksandra 18 (róg Brackiej),
 telefon 40-33. Przyjęcia od godz. 9 do 11
 rano. Porada 50 kop.



Słynna ze swych własno-
 ści aromatycznych, właści-
 wych substancjom roślin-
 nym, służącym do jej przy-
 gotowania.

DO NABYCIA WSZĘDZIE.

LUDWIK SZUFA
KRAWIEC
 KRAKOW TELEFON 671

ZABAWKI

Gry salonowe. **Kotyliowe** przybory.
 Witraże do okien. **Filtry** do wody.
 Nowości paryskie. Katalogi franco.

MAGAZYN FRANCUSKI (BERGA 8).

LEKARZ DENTYSTA
A. ZAWADZKI

ZIELNA 7 róg Złotej, daw. Marszałkow. 108
 Telefon 184.47. Przyj. od 10-2 i od 3-5 i pół.



Wyprzedajemy z dawnych zapasów

5,000 gąsiork. wina węg.

wytrawnego, średniego lub słodkiego
 po wyjąkowej cenie rub. 1 kop. 20.
 Dostawa 15 gąsiorków franko.

Skład Win i Koniaku
Braci KEMPNERÓW

Długa Nr 5. Telef. nu Nr 772.

SERWISY STOŁOWE

Rub. 32, 35, 40, 45, 50, 55, 60 i t. d.

SKŁAD I WŁASNA MALARNIA PORCELANY,

SZKŁA I FAJANSU

STANISŁAWA GORSKIEGO,

Nowy-Świat 37. Tel. 3631. Proszę zwrócić uwagę na firmę i adres

Poleca ogromny wybór serwisów stołowych, szkła, platerów na białym metalu, majoliki, terrakoty. Ozdoby do mieszkań i ogrodów. Własna malarnia wykonywa artystycznie całkowite wyprawy ślubne oraz fotografie wieczne na porcelanie. **UWAGA:** Każdy kupujący serwis porcelanowy otrzymuje **bezpłatnie 100 sztuk** szkła stołowego.



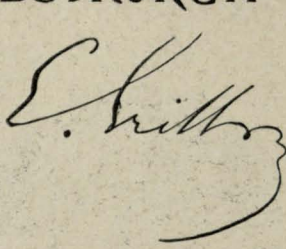
NASZE RYCINY.

Jacek Malczewski: „Złote jabłko”.
 Z ostatnich utworów tego artysty wystawione były dwa obrazy pod powyższym tytułem w salonie T. Z. Na pierwszym z nich majster, pogrążony w myślach, nie w głowie mu praca codzienna, tonie w marzeniach. Wyteżenie uwagi i skupienie udziela się i otoczeniu, tylko niewiasta zdaje się uśmiechać niedowierzająco. Drugi obraz: marzenie ciałem się stało, filozof trzyma upragnione jabłko, w usmolonych przy eksperymentach rękach, a wrażenie niepowstrzymane najsilniej udziela się chłopcu. Aż ręce rozłożył i patrzy z niemym zachwytem. Treść do obrazu zacerpnął artysta z wiersza T. Lenartowicza „Złoty kubek i wypowiedział ją z siłą mistrza-psychologa u którego rysunek i kolor zastępuje pióro, wypisujące całe traktaty bólów, tęsknot i dążeń ludzkich. — „Wogrodzie” Fr. *Ejsmunda.* Z niesłychanym wdziękiem namalowana dziewczynka na tle parku wiejskiego siedzi na taczkach, pełnych zieleni. Szczyt szczęścia wybornie wyrażony w ślicznej główce dziewczeczki. Wszystkie utwory tego artysty odznaczają się doskonałą obserwacją natury i nadzwyczajną subtelnością wykończenia. — W zbiorach mec. Cederbauma znajduje się obrazek olejny p. t. „Zydzki na wałach w 1831 r.” *J. F. Piwarskiego,* znakomitego rytownika na kamieniu. Rysunek trochę zaniedbany, ale charakter sceny, pełnej humoru, naszkicowany doskonale.



Opuścił prasę **KALENDARZ ROLNICZY**
 Centralnego Towarzystwa Rolniczego w Królestwie Polskiem na rok 1909,
 pod redakcją prof. A. Sempołowskiego, A. Wieniawskiego i Wł. Wilczyńskiego
 Rok I. Część I i II. Cena rub. 1.25.
 Do nabycia w księgarni GEBETHNERA I WOLFFA w Warszawie.

ZABAWKI i gry pedagogiczne, slöid, freblowszczyznę, przybory szkolne, papeterie **DZIAŁ TANICH ZABAWEK M. NOWOLECKA, Krucza Nr 43**

PASTILLES DE **TAMAR INDIEN GRILLON**
 Owoc przeczyszczający PRZECIW **OBSTRUKCYI**
 Sprzedaje się w pudełkach po 12-cie pastylek i pół-pudełkach po 6 pastylek z podpisem 
 PARIS, 33, RUE DES ARCHIVES.
 We wszystkich składach aptecznych i aptekach.

Zadanie, mające za cel wywołanie porostu włosów, pozostało dotychczas nierozwiązane, pomimo poważnej i opartej na zasadach naukowych pracy w tym kierunku. A jednak są pewne pomyślne wyniki w tej mierze. Nie uiega bowiem wątpliwości, że można spowodować

porost włosów

jeśli istnieje jeszcze t. zw. cebulka. Chodzi tylko o środek wzmacniający, czyszczący skórę i usuwający łupież. Te właśnie zalety posiada **mydło „Tataro-Chmielowe“**, wyrabiane w „Centralnem Laboratorium Chemicznem“ (Czekay i Krysiewicz) w Warszawie.
 Sprzedaż w składach aptecznych.

Zdrowie mieli i szczęśliwi byli pradziadowie nasi, kiedy pili stary słowiański trunk

MIÓD

Olbrymie zapasy miodów w pierwszej największej miodosytni **W. WYSOCKIEGO**
 w Warszawie, ul. Podwałe Nr 25.

Nabywać można: WARSZAWA: 1) Wysocki (Podwałe Nr 25. 2) Wysocki Mazowiecka Nr 3 (ze sprzedażą na szklanki) i 3) we wszystkich znacniejszych handlach win, restauracjach i piwiarniach całego Królestwa. PETERSBURG: 1) Sienkiewicz, Czerwoszewskij Pereulok Nr 14; 2) Arefjew, Kazańskie Nr 2. WILNO: 1) Stempkowski, 2) Rymkiewicz, 3) Gruźewski, 4) Dawidowski „Veritas“—KIJOW: Paszkow i Synowie.—BRJAŃSK: Grabowski.—RYGA: Rathel—ODESA: 1) Bratkowski, ul. Kobleńska Nr 40; 2) Witanowski, ulica Ryszejewska Nr 19 i 3) Tomaszewski, ul. Sadowa 16. — CHARKÓW: Jampolski.—EKATERYNO-SŁAW: 1) Eobowicz, 2) Dzygłt i 3) Zaporozcew.
 W. Wysocki, Podwałe Nr 25 i ulica Mazowiecka Nr 3. Wina słodkie i wytrawne, sprwadane z pierwszych rąk, w najlepszych gatunkach, po cenach najniższych, począwszy od 35 kop Również Wina zagraniczne. Likierzy i t. d.

SZKOŁA KROJU I SZYCIA M-me MÉRCERE
 Nowy-Swiat № 42
 dyplomowanej w Paryżu mistrzyni, system nowy, genre tailleur, moulage, bielzina.
 Patenty cechowe. Przy szkole pracownia sukien i okryć.

DLA KASZLĄCYCH I OSŁABIONYCH
 EKSTRAKT I KARMEŁKI
LELIWA
 w Warszawie, ulica Zielna Nr 21, Telefonu Nr 59-54.
 SPRZEDAŻ W SKŁADACH APTECZNYCH I APTEKACH.

KOMPLETNE
Urządzenia biurowe
KAROL F. FIŠER
 Warszawa, Mazowiecka 10. 

Rynek głów. linia 4B róg ul. Floryańskiej
KRAKÓW Magazyn Nowości B. WIERZEJSKI
 Ceny bardzo niskie. Wybór wielki. Towary tylko polskie, krajowe.

A. JASKULSKI
 WARSZAWA, WIERZBOWA Nr 1.
SKŁAD FABRYCZNY WYR. PLATEROWANYCH
Akc. Tow. R. PLEWKIEWICZ i S-ki
 poleca: Sztuce i wyprawy stołowe najnowszych modeli na wyprawy. Wielki wybór artykułów z brązu, srebra, niklu i t. p., stosowanych na wszelkie dary i prezenty okolicznościowe.
 NAJNOWSZE CENNIKI ILLUSTROWANE

 **L. MARCHOWIECKI** Krak.-Przedmieście 23
 (vis à vis pom. Mickiewicza)
 Poleca: Skórzaną galanterię, przybory podróźnie, ozdobne albumy, ciepłe pantofle, etc. Wyrób własny, ceny niskie.

Koncesyonowana przez c. k. Namiestnictwo
SZKOŁA MALARSTWA
 (DLA MĘŻCZYZN I KOBIET)
Leonarda Stroynowskiego
 W KRAKOWIE.
Gołębka Nr 11.

FORTEPIANY,
 PIANINA, PIANOŁE
 ORGANY,
 MELODYKONY
GEBETHNER i WOLFF
 Warszawa, Krak.-Przed. 17 

MILUJĄCYM ZDROWIE! poleca:
 Okulary i Binokle z najlepszymi szklami, wzrok wzmacniającymi po rb. 1.20, Mikrofony dla głuchych, Oliwa usuwająca szum uszny flakon rb. 1.50, Bandaże elektryczne usuwają rapturę, nie krępują ruchów od rb. 6, Przepaski higieniczne Venus, Diana i poduszeczki dla dam od rb. 1.50. Środki higieniczne dla pań i panów w dobrym gatunku. Cennik specjalny bezpłatnie, wyłącznie w zakładzie Michała Pik, Warszawa, ulica Miodowa Nr 1.

J. MIECZKOWSKI, Fotografia
 Marszałkowska III. Telefon 16.81.

L. Lipiński (Magazyn i Fabryka Wyrobów Jubilerskich Tel. 75-12.) Wielki wybór brylantów, kolorowych kamieni i pereł oraz biżuterii złotej i srebrnej w najnowszych fasonach. Srebro stołowe, gładkie i stylowe. Firma egz. od 1857
 WIERZBOWA Nr 7 (plac Teatralny) w Warszawie,

Nagrodz. złotym medalem na wyst. przemysł.-zdrowojew w Ciechocinku **Pierwsza warsz. Fabryka styl. Mebli trzećinowych T. & W. Krakowscy** Kantor: Warszawa, Nowogrodzka 36. Tel. 36 83

Bracia ŁOPIEŃSCY POLECAJĄ BRONZY SALONOWE I KOŚCIELNE MAGAZYN KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE Nr 15 Tel. 21.90

Redaktor Dr. JÓZEF WOLFF Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materyałów rysunkowych, nadesł. do redakcyi, nie zwraca się